

Marjaleena Lembcke



Cień
motyla



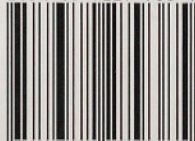
Zamiast przygotowywać się do matury, 18-letnia Katja znika ze szkoły i z domu. W szkole trzęsie się od domysłów: zaszła w ciążę i uciekła? Bierze prochy i zaszła się w jakiejś melinie? Przecież widziano Katję w towarzystwie niewiele starszego od niej narkomana.

Okazuje się jednak, że problemem Katji nie są narkotyki, lecz chłopak i... anoreksja. Głód uczuciowy przerodził się u niej w chęć bycia „łżejszą niż motyl”.

Katja prawie nie je i dopiero wówczas czuje się dobrze. Po powrocie do domu staje się jasne, że o zdawaniu matury nie może być mowy, a ona sama, skrajnie wycieńczona, zgadza się poddać leczeniu w zamkniętej klinice specjalistycznej. Terapia jest trudna i drastyczna. Jaki będzie finał leczenia, znajomości z Michael'em, układów w domu rodzinnym?

www.bertelsmann-media.pl

ISBN 83-7227-938-1



9 788372 279385

Cena 18,80 zł

Nr 3018

Marjaleena Lembcke

Cień
motyla

Z niemieckiego przełożyła
Izabella Korsak



HUBERT

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

Tytuł oryginału
DER SCHATTEN DES SCHMETTERLINGS

Projekt okładki i stron tytułowych
Piotr Jeziński

Redakcja
Urszula Przasnek

Redakcja techniczna
Alicja Jabłońska-Chodzeń

Korekta
Bożenna Burzyńska
Urszula Przasnek

Copyright © 1998 by C. Bertelsmann Jugendbuch Verlag, München
within the Verlagsgruppe Bertelsmann GmbH

Copyright © for this edition by Bertelsmann Media Sp. z o.o., 2001

© Copyright for the Polish translation by Izabella Korsak, 2001

Bertelsmann Media Sp. z o.o.
Hubert
Warszawa 2001

Skład: *Joanna Duchnowska*
Druk i oprawa
GGP Media GmbH, Pößneck

ISBN 83-7227-938-1

Nr 3018

Dla Marko

Michael

– Czy ktoś wie, co się dzieje z Katją Bloch? – zapytał Schlüter.

Przesunął spojrzeniem po naszych twarzach, zatrzymując się na niektórych nieco dłużej, jakby w nadziei, że otrzyma odpowiedź na swoje pytanie. Patrzyliśmy na niego, jedni bezradnie, inni obojętnie, ktoś potrząsnął głową, ktoś wzruszył ramionami.

Czułem, że się czerwienię. Dwa dni temu dostałem od Katji list.

– To żywe zainteresowanie utwierdza mnie w przekonaniu, że dalsze pytania są bezcelowe – ironizował Schlüter. – Jesteście za pokojem na świecie i solidarnością, przeciwko niszczeniu środowiska i wrogości do cudzoziemców, ale jest wam wszystko jedno, co robi, a także czego nie robi wasza koleżanka z klasy. Za rok, dwa będziecie mieć trudności z przypomnieniem sobie nazwisk zgromadzonych tu osób!

Schlüter starannie przetarł okulary i westchnął zrezygnowany.

– Niektórzy widzą tylko to, co dzieje się bardzo daleko, inni nie sięgają wzrokiem poza czubek własnego nosa. Chyba wszystkim przydałyby się jakieś okulary.

Zdjąłem okulary. Szkieł używałem od dzieciństwa.

Dawno temu, pewnego zimowego popołudnia, sie-

działem z Katją w jej pokoju. Bawiliśmy się w grę „Widzę coś, czego ty nie widzisz”.

– Widzę coś – powiedziała Katja – co trzepocze dwojgiem oczu.

Spojrzałem na Katję. Czy to miał być jakiś żart?

– Właściwie to coś ma czworo oczu – dodała Katja.

Rozejrzałem się po pokoju, ale nie zauważyłem niczego, co by trzepotało ani co by miało czworo oczu. Wzruszyłem ramionami.

– Motyl! Rusałka pawik! – zawołała Katja.

– Idiotyzm! W zimie nie ma żadnych motyli!

– Ale ja mogę zobaczyć. Zobaczyć można wszystko, co się chce.

– Ja tak nie umiem – powiedziałem cierpko.

– Musisz zdjąć z nosa okulary. Bez nich widzi się lepiej to, co chce się zobaczyć – parsknęła śmiechem Katja.

Uśmiechnąłem się.

– Michael Mertens! Uśmiecha się pan z zadowoleniem. Czy są po temu jakieś powody? – zapytał Schlüter.

Potrząsnąłem głową. Schlüter był naszym nauczycielem niemieckiego. Lubiłem go. Facet miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt, do szkoły przychodził zawsze w garniturze i pod krawatem. Pokpiwaliśmy sobie, że przy swoim wzroście ma szczęście, bo może do końca życia chodzić w ubranku od konfirmacji.

Schlüter nie należał do tych, którzy podkreślają swoją młodzieżowość spranymi dżinsami czy czymś w tym rodzaju. Przeciwnie, jeżeli w ogóle coś podkreślał w związku ze swoją osobą, to tylko słownie:

– Żyję o trzydzieści lat dłużej od was, więc chyba mam większe doświadczenie – mawiał, uśmiechając się szyderczo.

Mimo to, a może właśnie dlatego, lubiłem go. Lubiłem także jego lekcje. Schlüter kochał literaturę i je-

zyk niemiecki. Kiedy mówił o Goethem czy Schillerze, kiedy opowiadał o Franzu Kafce czy cytował Paula Celana, w jego oczach zapalało się światło. Kiedy wzywał kogoś z nas do głośnego czytania, jego głos stawał się łagodny i niemal uroczysty. A kiedy chciał usłyszeć naszą opinię o jakimś opowiadaniu czy wierszu, mówił: „Oddaję państwu głos!”, co zawsze brzmiało tak, jakby w tym momencie ofiarowywał nam jakąś niepowtarzalną szansę – szansę powiedzenia czegoś bardzo znaczącego.

Lekcja zbliżała się do końca i Schlüter kartkował swój notes.

– Termin najbliższej pracy klasowej powinien z wiadomych względów zainteresować także tych, którzy przychodzą do szkoły tylko po to, żeby uzupełnić niedobory snu...

Zanotowałem datę.

– A gdyby ktoś z was jednak spotkał Katję Bloch, proszę jej przekazać ode mnie, że jeśli nadal będzie wykazywała tak niewiele zapału, nie powinna liczyć na zdanie matury. Po prostu nic z tego nie będzie! Nie jest to przy tym mój odosobniony pogląd. Moi szanowni koledzy i koleżanki są bez wyjątku tego samego zdania, co ja – zakończył Schlüter i opuścił klasę.

– Zrobił się strasznie sarkastyczny – stwierdziła Tina. – Ale istotnie ktoś powinien zadzwonić do Katji.

– To nic nie da – oświadczył Tommi. – Ona jest ze mną w tej samej grupie na angielskim i tam też się nie pokazuje. Tak czy owak, będzie musiała powtarzać rok. To więcej niż pewne.

– Za wiele opuściła – dodała Tina – a nawet jeśli była, to nie zabierała głosu.

– Dla ciebie to prawdziwe szczęście – wtrąciłem – bo uwielbiasz przysłuchiwać się sama sobie.

Tina roześmiała się i dała mi kuksańca. Przez chwilę jeszcze wszyscy roztrząsali, dlaczego Katja nie przy-

chodzi do szkoły, a potem każdy zajął się swoimi sprawami.

Kiedy szliśmy przez szkolne podwórze do wyjścia, Tina zapytała:

- Może pójdziemy gdzieś na kawę?

- Dobra!

- Do „Sowy”?

Kiwnąłem głową i po chwili powiedziałem:

- Schlüter ma do pewnego stopnia rację. Cholernie mało wiemy o sobie nawzajem.

- Ach, dla ciebie Schlüter zawsze ma do pewnego stopnia rację. Ale my - otarła się policzkiem o rękaw mojej kurtki - my wiemy o sobie mnóstwo rzeczy.

Uśmiechnąłem się do niej.

- My oboje, owszem. Od dwóch lat zajmujemy się sobą. Ale reszta... Kiedy skończą szkołę, nie będzie mi brakowało nikogo ani spośród uczniów, ani nauczycieli.

- Nauczycieli! - krzyknęła Tina z przerażeniem. - Do tego miałyby dojść?

- To nie jest śmieszne. Po tylu wspólnie przeżytych latach...

- No, nie wiem. Zespół klasowy właściwie nie istnieje już od dwóch i pół lat, bo uczymy się w różnych grupach. I to idiotyczne zbieranie punktów! Wszyscy mają teraz dostatecznie dużo roboty z odbębnianiem tych głównianych wypracowań klasowych. Na wspominki będzie czas później, koło siedemdziesiątki. Hej! Jesteśmy na miejscu. Otwórz oczy albo drzwi, albo jedno i drugie!

Weszliśmy do lokalu i zajęliśmy miejsca. Na stoliku stał wazonik z plastikowym tulipanem. Na ścianach wisiały plakaty z różnymi hasłami: *Wszyscy jesteśmy cudzoziemcami! Naziści precz! Moją ojczyzną jest Ziemia! Żadnych dzieci z komórki!*

Roześmiałem się i przeczytałem Tinie ostatnie hasło.

- A niby skąd mają się brać dzieci, jeśli nie z komórki?

- Tu chodzi o to, żeby nie manipulować dziedzicznością - wyjaśniła Tina. - Żeby pewnego dnia ziemia nie zaludniła się sklonowanymi zombi.

- Wyobraź sobie, że powstaje jeszcze jedna Tina. Ciekawe, w której się zakocham?

- W żadnej. Jeśli dojdziemy aż tak daleko, coś takiego jak miłość przestanie istnieć. Wszyscy będziemy nudni, jak ten plastikowy kwiatek. Niektórzy ludzie już dziś są tacy. Na przykład Katja. Próbowалам kiedyś z nią pogadać. Szło to jak z kamienia! Wydawało się, że nic jej nie interesuje. Ani szkoła, ani kino, ani w ogóle nic. Ona interesuje się tylko sobą.

- Porażająca logika - odparłem z rozdrażnieniem. - Dlaczego twoim zdaniem interesuje się sobą, skoro w ogóle niczym się nie interesuje?

- To się po prostu wyczuwa. Poznaje po tym, jak chodzi, jak trzyma głowę, po wszystkim. Ty wiesz to lepiej.

- Gadanie!

- Uważasz, że jest zwariowana? - dociekała Tina.

- Nie zastanawiałem się nad nią. Zwłaszcza ostatnio. Ale można powiedzieć, że wyrastaliśmy razem. Mieszkała kiedyś w sąsiednim domu.

- Opowiedz o tym.

- Kiedy nie ma o czym. A ja mam chwilowo inne sprawy na głowie niż Katja Bloch.

- Nie jesteś jedynym, który ma inne sprawy na głowie - westchnęła Tina.

Zapłaciliśmy rachunek i wyszliśmy. Po oświetlonym świecami lokalu świat na zewnątrz wydawał się bardzo jasny. Tina spojrzała na mnie pytająco.

- Zobaczmy się dziś wieczorem?

- Myślę, że powinienem wreszcie zacząć coś robić. Sama obecność w szkole już nie wystarcza.

- Idiotyczna matura! - jęknęła Tina. - Będę szczęśliwa, kiedy ten stres wreszcie się skończy.

- Ja też. Zadzwoń wieczorem.

- No to cześć!

Cmoknęła mnie w policzek, zarzuciła torbę na lewe ramię i ruszyła w poprzek ulicy. W tej samej chwili rozległ się pisk gwałtownie hamującego samochodu.

- Uważaj, do cholery! - wrzasnął rozjuszony kierowca.

- To ty uważaj, palancie! - rzuciła Tina z promiennym uśmiechem.

Popatrzyłem za nią i ruszyłem w przeciwnym kierunku. Powiniennem pójść w stronę przystanku autobusowego, ale nagle odechciało mi się wracać do domu. Właściwie nie miałem na nic ochoty, ale tak sterczeć na ulicy też nie mogłem. Ostatnio często bywałem rozkojarzony. Obojętnie, gdzie w danym momencie byłem, nigdy nie wydawało mi się to miejscem właściwym.

Szedłem ulicą bez pośpiechu. Pod jedną z księgarni przystanąłem. Zatrzymywałem się tam prawie zawsze, często zaglądałem do środka. Był tam również antykwariat, w którym trafiały się za bezcen książki w kieszonkowych wydaniach. Miałem czas, więc wszedłem. Znalazłem kilka nowych książek, niestety opatrzonych stemplem: *Defekt*. Wolałem raczej używane, ale bez braków. W niektórych egzemplarzach widniało czasem na stronie przedtytułowej nazwisko poprzedniego właściciela. Myszkowałem po regałach, chociaż niczego nie zamierzałem kupować. Mówiłem to sobie za każdym razem, a mimo to niemal zawsze wychodziłem z dwiema lub trzema książkami. Tym razem znalazłem *W Meksyku śmierć przychodzi szybko* Raya Bradbury'ego za trzy marki i jakąś książkę o motylach za dwie. Motyle mnie nie interesowały. To był bzik Katji. Od pewnego czasu pod każdym listem, który do mnie pisała, naklejała motyla.

Na ulicy wsadziłem obie książki do torby i poszedłem

do pobliskiego ogrodu botanicznego. Odczytałem kilka łacińskich nazw na tabliczkach wetkniętych w ziemię: wilczomlecz obrotny (*Euphorbia helioscopia*), wilczomlecz sosnka (*Euphorbia cyparissias*) i tak dalej. Nie byłem w stanie zapamiętać tych nazw. Zresztą po co? Nie zamierzałem studiować botaniki. Jeśli w ogóle chciałem cokolwiek studiować.

Ilekcję próbowałem trzeźwo zastanowić się nad swoją przyszłością, dostawałem zawrotu głowy, jakbym posuwał się na dwumetrowych szczydlach. Od nadmiaru możliwości całkowicie traściłem orientację.

Teraz jednak pozostawiłem przyszłość w spokoju i ruszyłem trochę szybciej. Z naprzeciwka szła jakaś młoda kobieta z trzy- lub czteroletnim dzieckiem. Dzieciak wyrwał się matce i wpadł wprost na mnie.

- Tylko mnie nie przewróć, mały! - powiedziałem, przytrzymując chłopca za ramię.

Spojrzał i roześmiał się zadowolony. Potem uwolnił się z uścisku i pobiegł dalej. Nagle odwrócił się i zawołał:

- Nie jestem chłopakiem! Mam na imię Christina!

- A ja Michael! - odkrzyknąłem.

Katję poznałem, kiedy miałem pięć lat. Któregoś dnia odkryłem w ogrodzie sąsiedniego domu dziewczynkę, kopiącą w ziemi niebieską łopatką. Przedarłem się przez jodły, przystanąłem.

- Mieszkasz tutaj? - zapytałem.

Nie odpowiedziała.

- Mam na imię Michael.

- A ja nazywam się Katja Loch.

Pewnie powiedziała: Bloch, a ja po prostu źle zrozumiałem, w każdym razie nazywałem ją potem często Katją Loch. Żeby ją rozzłościć.*

Chodziliśmy razem do szkoły, byliśmy przyjaciółmi.

* Po niemiecku *der Bloch* znaczy: pień, kłoda, a *das Loch* - dziura, jama (przyp. tłum.).

Kiedy Katja nie mogła przyjść na lekcje, przynosiłem jej tematy zadań domowych. Katja traktowała je bardzo poważnie. Wszystko zresztą traktowała bardzo poważnie.

Na ulicy Dworcowej pod światłami stał sznur samochodów. Przemknąłem między nimi na drugą stronę, na przystanek. Nadjeżdżał właśnie mój autobus. Usiadłem na samym końcu wozu i wyciągnąłem podręcznik do historii. W czasie półgodzinnej jazdy zawsze mogłem wkuć kilka ważnych faktów.

Mieszkaliśmy na wsi, pośród łąk i pól, kilka kroków od lasu. Mieliśmy kury, owce i kilka kotów.

Przed dwoma laty rodzice kupili stary wiejski dom, przedtem jednak zapytali nas po przyjacielsku o zdanie. Oliver, mój młodszy brat, i ja byliśmy przeciwni przeprowadzce.

- Nigdy! - powiedziałem. - Nie wyniosę się na takie pustkowia. To przecież czyste szaleństwo!

- Zanudzicie się tam na śmierć - dodał Oliver - a my razem z wami.

- W takim razie dokupię od razu kawałek gruntu na familijny grobowiec - powiedział spokojnie ojciec i na tym się skończyło.

Początkowo często narzekałem na dojazdy autobusem, oddalenie od przyjaciół i inne niedogodności, ale z czasem spodobała mi się i okolica, i nasze stare domostwo. Dom pełen był odgłosów - trzeszczały belki, w okiennicach wył wiatr, deski podłogi skrzypiały przy każdym kroku. Na poddaszu można się było położyć na starej słomie i marzyć. Tam nikt nikomu nie przeszkadzał. Co najwyżej jakaś mysz i polujący na nią kot.

Rodzice spierali się jedynie o to, gdzie należy posadzić cebulki tulipanów i o tym podobne sprawy. Twier-

dziłi nawet, że sprzeczki są na wsi bardziej odświeżające niż w mieście. I rzeczywiście, do żadnych poważniejszych sporów nie dochodziło. Życie na wsi pozwoliło im - jak mówili - przezwyciężyć kryzys. Bo był czas, kiedy nie umieli niczego razem przedsięwziąć. To znaczy - niczego pięknego.

Wysiadłem z autobusu i głęboko odetchnąłem. Wiejskie powietrze naprawdę pachnie inaczej. Żadnych spalin! Tylko wiosną i na jesieni zapach obornika. No i ten wypoczynek dla uszu. Żadnego warkotu silników, jazgotu klaksonów i pisku hamulców.

Naprzeciw sunął na rowerze Oliver. Zahamował tuż przede mną, aż żwir prysnął mu do kolan.

- *Hallo, brother!* - rzucił na powitanie.

- *Hallo* - wymamrotałem niewyraźnie; dopiero teraz zwróciłem uwagę na jego ufarbowane na czerwono włosy.

- *Mam has been waiting for you. We had dinner about two hours ago!*

- Nie umiesz tego powiedzieć po niemiecku?

- *Is German so beautiful?* Mówisz, jak ci ze Związku Wypędzonych. *Take it easy, big brother!* - Poradził mi na zakończenie i odjechał.

Oliver ma piętnaście lat. Wygląda tak, jakby musiał donaszać ciuchy po młodszemu bracie. Nogawki spodni sięgają mu ledwie poza kolana, bawełniane koszulki nie zakrywają pępka, a wierzchnie okrycia są jeszcze bardziej kuse. Nasza matka przepowiada mu wczesne dolegliwości związane z nerkami, ale on nie zaprzęta sobie tym głowy. Dopóki ma dostatecznie dużo na talerzu i nikt nie komentuje trądzika na jego twarzy, dopóty świat jest wedle niego w porządku. Tak mi się przynajmniej wydawało, choć pewności nie miałem.

Tuż przed domem podszedł do mnie kot. Pochyliłem się i zacząłem go głaskać. Zamruczał zadowolony, a kiedy miał już dosyć karesów, poszedł swoją drogą.

Przed drzwiami domu stała matka.

- Gdyby trzy lata temu ktoś mi powiedział, że tak dobrze będę się czuła na wsi, roześmiałabym mu się w twarz - oznajmiła.

- To zawsze jeszcze możesz zrobić. Co jest do jedzenia? - zapytałam.

- Zupa szpinakowa - odparła z taką dumą, jakby zapowiedziała menu złożone z siedmiu dań.

- Znowu?! Jeśli już żyjemy na wsi, to posiłki mogłyby być solidniejsze.

- Najważniejsze, że w ogóle są - odparła, wchodząc do kuchni. - Jak tam w szkole?

- Jak zawsze.

Zdjąłem kurtkę i rzuciłem ją na wolne krzesło. Matka nalała mi zupy na talerz. Jadłem, a ona usiadła naprzeciw i przyglądała się w milczeniu. Wiedziała, że nie lubię rozmawiać o pustym żołądku.

Gdyby ktoś mnie zapytał, jaka jest moja matka, odpowiedziałbym, że to kobieta, która zdejmuje pokrywkę z garnka, zanim mleko wykipi.

Kiedy zaspokoilem pierwszy głód, powiedziałam:

- Właśnie spotkałem Olivera. Ciągle jeszcze mówi stylem podręcznika *Angielski dla początkujących*.

- Każdy musi przez to przejść - stwierdziła spokojnie.

- Pomalował sobie włosy na czerwono!

- Na to wygląda.

- Kolor w sam raz do jego pryszczy.

Zjadłem jeszcze jeden talerz zupy i rozparłem się zadowolony na krześle. Pełny brzuch nastraja pokojowo. Właśnie chciałem powiedzieć coś miłego na temat szpinaku, kiedy matka podjęła rozmowę:

- Tożsamości szuka się na różne sposoby. Podkreśla się ją kolorem farby do włosów, przynależnością do jakiejś grupy, szuka się jej w książkach czy jeszcze gdzie indziej. Przecież to wszystko jedno, czym się posmaruje włosy, grunt, żeby się z tym dobrze czuć. Ty nie spr-

wiasz wrażenia zadowolonego z siebie. Może nie powinienś brać wszystkiego tak strasznie serio.

Chciałem odpowiedzieć, że zupełnie nie wiem, co powinienem brać serio, a czego nie, ale poniechałem tego zamiaru. Moja matka uwielbia długie dyskusje na temat sensu życia, a to mnie czasem wnerwia. Powiedziałem więc tylko:

- Schlüter pytał nas dzisiaj o Katję Bloch. Nie ma jej w szkole od kilku dni. Bez usprawiedliwienia.

- Nie wygląda to dobrze - orzekła matka, marszcząc czoło. - A ty? Chodzisz do szkoły, czy spędzasz czas w kawiarni?

- Nie tylko w kawiarni. Dziś byłem w ogrodzie botanicznym.

- W ogrodzie botanicznym? Przecież nas ze wszystkich stron otacza przyroda!

- Brakuje mi tutaj tabliczek z nazwami łacińskimi - wyjaśniłem, szczerząc zęby.

- Z tym da się coś zrobić. Mogę każde zielsko zaopatrzyć w taką tabliczkę. Swoją drogą, to by zaimponowało twojemu ojcu.

Spojrzałem przez okno w ogród.

- Potrzebowałybyś ich mnóstwa.

Roześmiała się pogodnie.

- Szkoła nie jest już miejscem przyjemnym - wystrzeliłem znienacka.

- To jeszcze tylko parę tygodni. Potem będziesz mógł robić, co zechcesz.

- Ale musiałbym najpierw wiedzieć, czego chcę, no nie?

Matka zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

- Wszystko we właściwym czasie.

- Wstrząsające! *Clever!*

- Prawda? Przy okazji: *clever* jest słowem angielskim.

Wyszła z kuchni, zostawiając mnie z brudnymi naczyniami. Żeby nie kuć do klasówki, a mimo to mieć

uczucie, że robię coś pożytecznego, zabrałem się do zmywania.

Matka zajrzała przez uchylone drzwi. Na widok czystych naczyń uniosła brwi i skinęła głową z uznaniem.

– Spieszę się na autobus. Pozdrów ojca. Będę w domu koło siódmej.

Przez tylne drzwi kuchenne poszedłem do warzywnika. Chwilowo nie było tam niczego do zbierania, ale za ogrodzeniem dostrzegłem pracowicie grzebiące w ziemi nasze sześć kur. W starym kurniku zacząłem szukać jaj. Przypominało mi to zawsze czasy dzieciństwa i szukanie jajek wielkanocnych.

Znalazłem jedno; jako dziecko miałem więcej szczęścia. Tylko że wtedy były to jajka czekoladowe, a poza tym nie były tak przemyślnie poukrywane.

Nad wsią z piekielnym hałasem przeleciał samolot wojskowy. Po co oni ćwiczą? Pewnie na wszelki wypadek – a nuż znowu będzie wojna?

Na podwórze wjechał ojciec, dając znak klaksonem. Pewnie chciał w ten sposób ostrzec kota. Zaczekałem przed drzwiami. Kiedy ojciec wysiadł z samochodu, wymieniliśmy uśmiechy. Sakramentalne pytanie o szkołę oczywiście nie zostało mi oszczędzone, ale obyło się przynajmniej bez dalszego drażnienia. Ojciec wiedział, że moja pozycja nie jest mocna, a w dodatku nie należą do najpracowitszych.

Ojciec pracuje w policji. Mówiąc o nim, podkreślam zawsze: w policji kryminalnej. Uważam, że tak brzmi to lepiej.

O swojej pracy mówi rzadko. W domu jest spokojny, zatopiony w myślach. Dużo majsterkuje, chodzi na dalekie spacery po okolicy. Zawsze umiał słuchać, kiedy coś nam leżało na sercu, ale nigdy nie wdzierał się w nasze przeżycia duchowe – wolał poczekać, aż sami będziemy mieli ochotę o nich opowiedzieć. Może dlatego, że w swojej pracy musi stawiać aż za wiele pytań.

Na ogół rozumiałem się z ojcem dobrze. Wprawdzie

rozmawialiśmy ze sobą niewiele, ale w jakiś sposób, obywając się bez słów, żyliśmy w zgodzie.

Siedzieliśmy przy kawie, gdy ojciec nagle rzucił pytanie:

– Czy masz jakiś pomysł na to, co będziesz robił po maturze?

– Wiem tylko, że w żadnym wypadku nie pójdę służyć w policji! – palnąłem bez zastanowienia i natychmiast poczerwieniałem.

Ojciec odstawił filiżankę i odparł spokojnie:

– Nigdy tego nie oczekiwałem.

– Nie to miałem na myśli – mruknąłem zakłopotany.

– Byłoby dobrze, gdyby społeczeństwo nie potrzebowało policji. Nie miałbym nic przeciwko temu i chętnie poszukałbym sobie innego zajęcia.

– Więc zrób to. Nie jesteś jeszcze za stary.

– Powiedziałem: gdyby społeczeństwo nie potrzebowało. Większość ludzi i tak wie niewiele o zadaniach policji. Niektórzy nawet wolą nie wiedzieć. Im wystarczy uprzedzenia i stereotypy.

Nic na to nie odpowiedziałem. W gruncie rzeczy ja też mało wiedziałem o pracy policji. Tylko tyle, ile pokazywały telewizja i kino.

Ojciec przeniósł się do dużego pokoju i włączył telewizor. Poszedłem za nim i usiadłem obok na kanapie. Po chwili pokazano migawki z meczu piłki nożnej w Anglii, w czasie którego doszło do burdy między fanami klubów. Policja natarła na awanturników, używając pałek. Poczynania policji skomentowano krytycznie.

Ojciec wyłączył aparat i powiedział:

– Strach czyni człowieka brutalnym. Obojętne, po której stronie się stoi.

– Ale brutalność wywołuje strach, a to z kolei – agresję.

– To prawda – przyznał i nagle się poderwał. Ruszył

do drzwi, jakby w obawie, że będę chciał dalej ciągnąć dyskusję. – Chodź, nakryjemy do kolacji.

W starym kuchennym piecu płomienie z trzaskiem i migotaniem lizały wilgotne polana. Przyniosłem kilka pociętych desek z rozebranej stodoły; szybko zajęły się ogniem. Kiedy wprowadziliśmy się do domu, piec już w nim stał – pokryty z przodu białą emalią i ozdobiony wzorem w kwiatki.

– W naszych czasach chyba niewielu ludzi ma taki piec – powiedziałem z dumą.

– Większość z pewnością nie chciałaby mieć w domu czegoś takiego – stwierdził ojciec. – Rąbanie drewna i codzienne wcześniejsze wstawanie, żeby rozpałić pod kuchnią, to przyjemności, z których się chętnie rezygnuje.

– Czy to przytyk do mnie? – zapytałem podejrzliwie, gdyż nigdy nie wstałem wcześniej, żeby rozpałić w piecu.

– Skądże! – zdziwił się ojciec. – Jesteś ostatnio zbyt przewrażliwiony.

Potrząsnął głową, zawahał się, jakby chciał mnie o coś zapytać, ale zrezygnował. Kiedy nalewał wody do dzbanka na herbatę, usłyszeliśmy kroki matki.

Razem z nią do kuchni wkroczył kot. Miauknął na powitanie, ułożył się w koszyku i zaczął starannie czyścić futerko.

Matka postawiła na stole jakiś pakunek zawinięty we frotowe ręczniki i nie zdejmując z siebie płaszcz, zaczęła go odwijać. Wpatrzona ze skupieniem w abstrakcyjną figurę z gliny zapytała:

– No, i co powiecie?

– A co tu można powiedzieć? – bąknął ojciec.

– Cokolwiek – rzuciła niecierpliwie.

– No więc, to wygląda tak, jakby jakiś stary mężczyzna z kozią bródką stał na głowie i siusiał – powiedziałem.

– To niepoważne! – uniosła się matka.

– Mnie się w pierwszej chwili wydawało, że ten mężczyzna siedzi na sedesie – wyznał ojciec.

– Żarty sobie stroicie. – Zdejmując płaszcz, cały czas z lubością wpatrywała się w swoje dzieło. – Może należy patrzeć na to dłużej? Dopiero gdy się czuje, że się odgadło tajemnicę, można ocenić rzecz właściwie, a nawet pokochać. Tak to już jest ze sztuką.

– Tak jest nie tylko ze sztuką – odparł ojciec i delikatnie pogładził ją po włosach.

Odwrociłem wzrok. To, że moi rodzice tak dobrze się rozumieją, uważam za wspaniałe. Często jednak, kiedy widzę ich całujących się lub wymieniających jakieś drobne czułości, przypomina mi się okres, gdy schodzili sobie z drogi albo krzyczeli na siebie. Oliver i ja liczyliśmy się wtedy z możliwością rozwodu. A potem nagle zaczęli ze sobą gruchać, jak gdyby dopiero co się poznali. I chociaż matka była zawsze z nami bardzo szczerą, na temat owego „kryzysu” nie rozmawiała nigdy. Chciałem kiedyś pogadać o tym z Oliverem, ale on uciał krótko:

– Kogo to jeszcze interesuje? To ich sprawa, co i jak tam było. Najważniejsze, że teraz wszystko znowu jest w porządku.

Mnie jednak to interesowało. Zastanawiałem się, jakie trudności mogli mieć moi rodzice.

– No więc, co to ma przedstawiać? – zapytał ojciec.

– Starego człowieka siedzącego w łódce. Oczywiście, całość musiałam bardzo uprościć.

– Owszem. – Ojciec wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Zauważyłem.

– To jest bardzo uspokajające: ugniatać i formować glinę, próbować wszelkich możliwości, a przy tym wiedzieć – matka się roześmiała – że nikt nie będzie musiał tego zjeść.

– To rzeczywiście musi działać uspokajająco – przytaknął ojciec.

Usiedliśmy przy stole i matka zadała pytanie, które

Scanned

by

20E (E) >

stawiała zawsze, ilekroć pozostawałem z ojcem choćby na kilka godzin sam na sam: „Co robiliście?”, a które znaczyło: „O czym rozmawialiście?”.

Kiedy usłyszała, że oglądaliśmy mecz piłki nożnej, skinęła ze zrozumieniem.

– Tak, tak, przy piłce nożnej można się przynajmniej odprężyć, gdy tymczasem na świecie dzieje się tyle okropności...

– Podczas meczów też się zdarzają okropności – wtrąciłem.

– Tak? A co się stało? – zainteresowała się.

Nie miałem ochoty opowiadać o tym. Spojrzała na mnie, jakby oczekując zaraz teraz jakiejś przerażającej relacji. Moja matka uważała przy tym, iż każdemu nie-szczęściu należy współczuć.

– Wybuchła awantura i policjanci ruszyli z pałkami na młodzież – wyjaśnił ojciec.

– Straszne! Nie mieli prawa! – oburzyła się matka.

– Policjanci to też młodzi ludzie i na pewno mieli portki pełne strachu.

– Powinni wiedzieć, co robić, żeby się nie bać. Przecież tego ich właśnie uczą, prawda?

– Na strach nie pomogą żadne nauki. Nie wiem, jak sam zareagowałbym w takiej sytuacji, a przecież nie jestem już młodym policjantem.

– Chyba nie ruszyłyś z pałką na nieletnich – zapytałem.

– Mam nadzieję, że nie, ale...

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Ty odbierz, Micha – powiedziała matka. – Mnie nie ma. Chyba, że coś ważnego. Ale to pewnie i tak do ciebie lub Olivera.

Telefon nie był jednak ani do niej, ani do mnie czy Olivera, lecz do ojca.

Kończyliś już jeść, kiedy wreszcie wrócił do kuchni.

– To służbowy, ale wyjątkowo powiem, o co chodzi.

Może ty, Micha, będziesz mógł pomóc. Katja jest przecież z tobą w jednej grupie, prawda?

– Na niemieckim i na sztuce... Bo co?

– Pani Bloch złożyła zawiadomienie o zaginięciu córki.

– Co? O zaginięciu? – krzyknąłem.

– Katji nie ma w domu już od pięciu dni. Dziś zadzwonił jeden z nauczycieli, ponieważ dziewczyna nie pokazuje się w szkole. I to dopiero przeraziło jej matkę, bo dotąd była pewna, że Katja jest u swojej przyjaciółki. Nazwisko tej przyjaciółki wyleciało pani Bloch z głowy. Katja jest chyba wielkim milczkiem.

– Zgadza się. Poza tym często opuszczała szkołę. To zdarzyło się nie pierwszy raz.

– Ale przecież gdyby chciała pobyć u tej przyjaciółki, powiedziała by o tym w domu – zastanawiała się matka.

– Niekoniecznie – odparł ojciec zamyślony.

– Przecież nie mogła tak po prostu się wynieść!

– Pamiętaj, że nie jest już dzieckiem – wtrąciłem. – Ma dwiętnaście lat. Wie, co robi.

– Miejmy nadzieję – powiedział ojciec.

– Musisz wyjść? – zapytała matka.

Ojciec zaprzeczył ruchem głowy.

– Böttcher już nadał bieg sprawie. Zadzwonił do nas, bo matka Katji powiedziała, że Michael jest przyjacielem jej córki.

– Przyjacielem! – wykrzyknąłem. – Przecież nie mam z nią nic wspólnego. Widuję ją od czasu do czasu w szkole, jeśli w ogóle się pojawi. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz zamieniłem z nią choćby słowo.

– Nie złość się – uspokajał ojciec. – Nie staniesz zaraz przed sądem tylko dlatego, że ją znasz. Jeśli Böttcher właściwie zrozumiał, pani Bloch twierdziła, że byłeś chłopakiem Katji. A więc więcej niż kolegą z klasy czy szkolnym przyjacielem.

– Co za głupoty! – Uniosłem się. – Co jej przyszło do głowy?

W łóżku przeczytałem jeszcze raz list Katji. Na kopercie był stempel z jedenastego, to znaczy z ubiegłego piątku. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć, kiedy widziałem ją w szkole po raz ostatni.

*Drogi Michaelu,
pewnie jesteś zdziwiony, że piszę do Ciebie po tak długim czasie.*

Nie mieliśmy ze sobą wiele do czynienia. Właściwie – nic. Widujemy się w szkole. A raczej – to ja Ciebie widuję. Ty mnie nie dostrzegasz. Nawet to rozumiem. Mam na myśli to, że jesteś teraz z Tiną. Zapytałeś mnie kiedyś, czy wezmę udział w demonstracji przeciwko dyskryminowaniu cudzoziemców. Nie poszłam. Nie wiem zresztą, dlaczego. Naokoło dzieją się same straszne rzeczy, niezależnie od tego, czy się przeciwko nim protestuje, czy też nie. Męczą mnie przerażające urojenia. Mam uczucie, że jeśli tylko otworzę usta, zacznę krzyczeć. Więc nie otwieram ust.

Czy pamiętasz jeszcze naszą grę: Jestem duży jak drzewo, jestem mały jak kamyczek?

Czuję się tak, jakbym była mała jak kamyczek i mar-twa, i nie wiem, jak ma ze mnie powstać drzewo.

Katja

Tak, pamiętałem tę zabawę. To było dawno, całe wieki temu. W czasach przedszkola lub pierwszych klas podstawówki, nie pamiętałem dokładnie. Ale samą grę zapamiętałem dobrze.

Zastanawiałem się, czy powinienem pokazać ten list ojcu, ale przecież nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Katji.

A może wstydziła się, że go napisała, i dlatego nie miała odwagi pokazać się w szkole? Może myślała, że ja ten list komuś pokażę? Choćby Tinie? Nie, nie w tym

rzecz. Katja wagarowała już wcześniej, zanim go napisała.

Tina boczyła się, rzucała mi złe spojrzenia. Prawdopodobnie dlatego, że zapomniałem zadzwonić wieczorem. Zanim jednak zdążyłem porozmawiać z nią na pauzie, Schlüter zagarnął mnie do swego pokoju.

– Czy to prawda, że jest pan zaprzyjaźniony z Katją Bloch?

– Nie, ale widać wszyscy tak uważają. I to tylko dlatego, że piętnaście lat temu chodziłem z nią do tego samego przedszkola.

– To wasza przyjaźń sięga tak dawnych czasów – uśmiechnął się Schlüter.

Odchylił się na oparcie krzesła i przymknął oczy. Może wspominał swoją przedszkolną przyjaciółkę?

– Chodzę z Tiną – wyjaśniłem.

– Wiem – powiedział Schlüter i otworzył oczy. – Zauważyłem. Więc nie wie pan, gdzie się podziewa Katja?

Potrząsnąłem głową przecząco.

– Jak pan w ogóle wpadł na to, że ja mogę coś wiedzieć?

– Pani Bloch powiedziała mi przez telefon, że powinienem pana zapytać o Katję.

– Ta pani musi mieć nie po kolei w głowie.

– Może Katja coś jej zasugerowała?

– Niby dlaczego?

– Też nie wiem, jak na to wpadła. – Schlüter zamilkł na chwilę, a potem powiedział: – Katja raczej nie należy do tych, o których się mówi, że są kontaktowi, prawda?

– Nawet w najmniejszym stopniu – potwierdziłem. – Ona jest... Och, nie wiem. W każdym razie mnie już od dawna nie wprowadzała w swoje tajemnice. A z jej zniknięciem nie mam nic wspólnego.

– No dobrze, to wszystko, czego od pana chciałem. Miejmy nadzieję, że dziewczyna nie robi żadnego głup-

stwa. – Schlüter westchnął. – Mam dwie córki – powiedział takim tonem, jakby to było ciężkim brzemieniem. – A ty, ty powinienes wreszcie przysiąc fałdów i zacząć coś robić! Przepraszam, panie Mertens, za to tykanie.

– Nie szkodzi – powiedziałem wielkodusznie.

Pochwyciłem jego ironiczne spojrzenie. Przypomniało mi się, że Schlüter był przeciwny temu, żeby uczniom wyższych klas mówić *per pan*. Przestrzegając jednak tego, ale z widoczną niechęcią.

– Czego Schlüter chciał od ciebie? – spytała Tina na przerwie.

– Chodziło o Katję; czy nie wiem, gdzie ona jest.

– Przecież nie miałeś z nią do czynienia!

– I to właśnie mu powiedziałem.

Tym razem nie poszedłem po szkole z Tiną do „Sowy”. Stwierdziłem, że chcę nareszcie zrobić coś z myślą o maturze, i pojechałem do domu.

W autobusie przypomniały mi się wszystkie możliwe sprawy z przeszłości. Na przykład moje siódme urodziny. Zaprosiłem siedmioro dzieci – z tą siódmką to był pomysł matki! Bawiliśmy się w chowanego. Kiedy przyszła moja kolej szukania, szczęciro znalazłem dość szybko, znałem przecież wszystkie zakamarki w domu. Nie mogłem tylko znaleźć Katji. W końcu zaczęliśmy jej szukać razem. Zajrzeliśmy do wszystkich kątów, czołgaliśmy się pod łózkami, otwieraliśmy szafy pełne ubrań i nurkowaliśmy między sukniami, spodniami i płaszczami. Zajrzeliśmy w piwnicy do pralki, bo ktoś wpadł na pomysł, że jej wnętrze to dobra kryjówka. Ale drzwiczki pralki stały otworem, a w bębnie nikt nie siedział.

W końcu to moja matka wpadła na pomysł, że Katja mogła pójść do domu. Pobiegłem więc do niej i rzeczywiście – siedziała przy stole w pokoju i najspokojniej w świecie bazgrała coś na kartce papieru.

Nie pamiętam już, co jej wtedy powiedziałem. Wiem tylko, że rozżościłem się dopiero wtedy, kiedy Katja wyjaśniła, że po prostu nie miała ochoty się chować. A potem podarowała mi narysowany przez siebie obrazek. Mam go chyba do dziś.

Kiedy dotarłem do naszej „wiejskiej posiadłości”, matka siedziała w kuchni i czytała. Na płycie pieca nie widać było ani garnków, ani patelni.

– Czy to znaczy, że „Na pichcenie nie mam czasu, bo idziemy dziś do lasu”? – zapytałem.

– Jedzenie jest w piekarniku. Chyba czujesz zapach? A może zapomniałeś wyjąć nos z książki? Mamy dziś suflet.

Gwizdnąłem z uznaniem. Suflet należy do moich ulubionych potraw.

– Oliver powinien już niedługo przyjść – powiedziała matka, stawiając na stole trzy talerze. – Poczekamy na niego?

– Byle nie za długo! Umieram z głodu.

– Powiedz, czy to możliwe, że Katja jest w ciąży? – zapytała znienacka.

– Jeśli tak, to na pewno nie ze mną! – rzuciłem rozdrażniony; ku swemu przerażeniu zrobiłem się czerwony.

– Wcale o tym nie myślałam, ale nie jesteś jedynym młodym człowiekiem na świecie...

– Tylko Adam miał to szczęście – odparłem już nieco spokojniej. – Nie, nie sądzę, żeby była w ciąży. Tam, gdzie inne mają brzuch, ona ma zwyczajnie dołek. Poza tym ciąża to nie powód, żeby się ukrywać. To nie czasy naszej babci, kiedy ktoś popełniał samobójstwo z powodu pozamałżeńskiej ciąży.

– Nie ktoś – powiedziała matka ostro – tylko kobieta. Mężczyźni nie popełniali z tego powodu samobójstwa. Mogli mieć dzieci ślubne i nieślubne.

– Okay, okay! Chciałem tylko powiedzieć, że w dzi-

siejszych czasach nie jest już tak bardzo ważne, czy dziecko jest ślubne czy nieślubne.

- Mimo to... w sytuacji Katji... Młoda dziewczyna w ciąży, tuż przed maturą. Coś takiego mogłoby ją załamać. Rozmawiałam z panią Bloch. Też się tego obawia.

- Pewnie zdradziła ci także nazwisko ojca dziecka: Michael Mertens, przyjaciel z przedszkola! Zaraz jej powiem, że nie życzę sobie takich telefonów i rozprowadzania kłamstw!

- Ona wcale nie telefonowała do mnie. To ja do niej zadzwoniłam. Pomyślałam, że dobrze jej zrobi rozmowa z drugą kobietą.

- Nie jesteś jedyną kobietą na świecie.

- Dla mnie tak! - krzyknął gromko Oliver od drzwi.

- Przy twoim apetycie nie mógłbyś sobie na żadną inną pozwolić - odparła matka, śmiejąc się. - Tutaj wszystko jest gratis.

- W zamian otrzymasz naszą wieczną wdzięczność i wieczną miłość. To też jest niezły interes - powiedział Oliver zwalając się na krzesło. - Poruszamy poważne tematy, czy też wolno się śmiać?

- Czyżby się wyczerpał zapas słówek angielskich? - zakpiłem.

- *No, my darling!* Ja jestem od głów do stóp nastawiony na angielski... - powiedział Oliver i rzucił mi spojrzenie à la Marlena Dietrich.

Matka z uśmiechem pokiwała głową. Oliver działał na nią często jak pigułka dopingująca. Ja na odwrót - byłem raczej środkiem sprzyjającym duchowej harmonii. „Micha potrafi w taki zrównoważony sposób rozmawiać o ważnych sprawach” - usłyszałem kiedyś, jak mówiła przez telefon do swojej przyjaciółki.

Postawiła suflet na stole. Nałożyliśmy sobie na talerze i jedliśmy w milczeniu. Dziwnym trafem nie rozpoczęła zwyczajowej pogaduszki, dlatego po chwili Oliver zapytał:

- Stało się coś, czy też są to tylko problemy z trawieniem?

- Pamiętasz Katję Bloch?

- Też pytanie! Czy pamiętam? Widuję ją dostatecznie często.

- Gdzie ją widzujesz? - wtrąciłem szybko.

- Tu i tam...

- Możesz te miejsca trochę dokładniej określić?

- Nie określe żadnych miejsc ani niczego innego. Powiedziałem tylko, że ją widuję. Co to za krzyżowy ogień pytań? Myślałem, że w naszej rodzinie tylko ojciec prowadzi przesłuchania. A może właśnie zaczynasz tam pracę, bo z maturą coś nie gra?

- Nie kłóćcie się - uspokajała matka.

- Nie kłóćmy się. To jest normalny ton rozmowy między różniącymi się od siebie braćmi - powiedział Oliver. - A zatem, co jest na rzeczy?

Matka opowiedziała mu o zniknięciu Katji.

- Od kilku dni nie widziałem jej. - Oliver się zamyslił. - Wydaje mi się, że ostatni raz to było wtedy, kiedy zabrali Jana do psychiatrika.

- Nic nie rozumiem - powiedziała matka, marszcząc czoło. - Co za Jan, kto go zabrał i jaki znów psychiatrik... Kiedy to się stało? I...

- ...i w jakich kręgach ty się właściwie obracasz? - dokończył Oliver.

Najprawdopodobniej matka tak właśnie miała zakończyć to zdanie.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej. O co tu chodzi?

- Sądziłem, że chodzi o Katję - odparł Oliver. - Ja sam nigdzie nie wsiąknę. Możesz być cool. No więc, to było tak: Jan znalazł się w psychiatriku, bo jest świrem. Nie miał już na działkę i tak go kopnęło na ulicy, że ktoś wezwał karetkę. Katję często widywano z Janem. Jak blisko byli ze sobą - nie wiem.

- Czy Katja też bierze narkotyki? - badała matka.

- Nie. Może tak to wygląda, ale moim zdaniem nie. Ona jest tylko chora na jadłowstręt. To przecież widać.

- Skąd ty o tym wszystkim wiesz? - zdziwiła się matka.

- Mam oczy i uszy otwarte. I nie mam ochoty głupio skonać.

- Czy rozmawiałeś czasem z Katją? - zapytałem.

- Taka tam paplanina, kiedy się kogoś spotka. Ale jeśli ona szybko nie zacznie znowu jeść, wkrótce nie będzie w stanie nawet niczego szepnąć.

- Myślisz, że ona włóczy się teraz gdzieś z narkomanami? - zapytała matka.

- Nie, tego nie myślę. Widywałem ją tylko z Janem. Z innymi nie ma do czynienia

- Kiedy wzięto tego Jana do szpitala? - zapytałem.

- Chyba w zeszłą sobotę.

- To być może tłumaczy zniknięcie Katji - powiedziała matka. - Z pewnością była bardzo roztrzęsiona, kiedy jej przyjaciela wzięto na oddział psychiatryczny.

- Podobno dotąd zawsze o mnie mówiła jako o jedynym przyjacielu - powiedziałem z przekąsem.

Matka spojrzała na mnie badawczo, ze zdziwieniem.

- Pobiegniemy kilka rund? - zaproponowałem Olive-
rowi.

- Jasne. Zmienię tylko buty.

Prawdę mówiąc, nie miałem ochoty na bieganie, zwłaszcza po jedzeniu, ale ta gadanina o ciąży Katji przypomniła mi coś, o czym nie chciałem pamiętać.

Bieganie zrobiło mi dobrze, przede wszystkim dlatego, że nie można wtedy rozmawiać. Słyszeliśmy tylko nasze kroki, wpieryw powolne, potem coraz szybsze. I chrząst żwiru pod stopami. Zwiększyliśmy tempo. Na ostatnich metrach pogналиśmy, aż serca zaczęły nam walić głośno i mocno, a oddechy stały się krótkie, urywane. Na skraju pola rzuciliśmy się na ziemię, z tru-

dem łapiąc oddech. Po chwili oddychaliśmy głęboko, całkowicie odprężeni.

- Oblędne uczucie - powiedział Oliver. - Jakby się właśnie udało skądś uciec.

Przytaknąłem. Wracaliśmy wolniej, bez zrywów, z uczuciem lekkości w stopach.

- Bieganie może stać się nałogiem. Wydzielająca się adrenalina działa odurzająco - stwierdził Oliver.

- Ale ty chyba nie masz problemu z narkotykami?

- Nie pleć! Ja ani razu nie wzięłem. Ze mną jest wszystko w porządku. Raczej pilnuj siebie, żebyś wyszedł ze swoimi sprawami na prostą. Łazisz w kółko, jak ciężko obciążone zwierzę juczne.

- Zupełnie nie wiem, jak się zmobilizować do nauki - westchnąłem.

- Zwróć się z tym do mnie - roześmiał się Oliver i wyprzedzając mnie, czmychnął pod prysznic.

Usiadłem w sieni na ławie i wpatrzyłem się w jabłonie za oknem. Matka wyszła ze swojej pracowni i usiadła obok mnie.

- Dzwoniła pani Bloch. Katja wróciła do domu. Bardzo chce, żebyś zadzwonił albo wstąpił.

- Kto tego chce? - Przełknąłem ślinę. - Katja czy jej matka?

- Nie wiem dokładnie. Chyba przede wszystkim pani Bloch.

- Czy nadal mieszkają w tym samym domu? - spytałem właściwie bez sensu.

Niedaleko tamtego domu mieszkała Tina, ale kiedy przechodziłem obok, nigdy nie myślałem: „Tu mieszka Katja!”. Zwróciłem uwagę tylko na to, że jodły bardzo urosły. Z ulicy dom był ledwo widoczny.

- Najpierw muszę wziąć prysznic - powiedziałem do matki.

- Oli jeszcze tkwi pod prysznicem, a to może potrwać.

- No, właśnie!

Czekałem cierpliwie, dopóki nie skończył. Najpierw puściłem gorącą wodę, potem zimną, a potem znów gorącą i jeszcze raz zimną. Zupełnie jakby mi zaordynowano kurację księdza Kneippa! Nie mogłem jednak stać pod prysznicem aż do północy. W końcu musiałem przecież zadzwonić. Wycierając się do sucha, rozważałem, co powinienem powiedzieć. Jeśli telefon odbierze pani Bloch, powiem: „Proszę wybaczyć, to oczywiście tylko do pani wiadomości, ale nie jestem chłopakiem Katji!”.

To brzmi idiotycznie. Może lepiej tak: „A przy okazji, Katja i ja jesteśmy tylko szkolnymi przyjaciółmi”. A może: „O czym chciała pani ze mną porozmawiać, pani Bloch?”.

Przypomniało mi się nagle, że ciągle jeszcze nie przygotowałem się z wiedzy o społeczeństwie. Za pięć dni klasówka. Zakląłem, wypilem jeszcze jedną filiżankę kawy z matką i Oliverem i obejrzałem w telewizji relację na temat państw byłego Związku Radzieckiego. Przyszło mi na myśl, że słowo „były”, bardzo często się teraz powtarza. Były Związek Radziecki, była NRD, była Jugosławia, była Czechosłowacja. Nagle ogarnęło mnie uczucie, że wszystkie te tak zwane wydarzenia światowe to teatr absurdu. Świat jest sceną, na której leci wciąż ta sama sztuka, a tylko aktorzy się zmieniają. Bezpośrednio po tej relacji nadano jeszcze *talk-show* na temat zjednoczenia Europy. Cała ta gadanina wzbudziła we mnie niechęć. Nie przysłuchiwałem się dokładnie, gdyż musiałem się przygotować do przeprowadzenia własnej *talk-show*. Ruszyłem do telefonu.

Matka zapisała numer czerwonym mazakiem wprost na tablicy, zamiast przypiąć na niej kartkę. Cyfry świeciły mi przed oczami niczym numer pogotowia ratunkowego. Rozsiadłem się wygodnie w narożniku przy aparacie telefonicznym.

Kiedyś – chyba chodziliśmy już wtedy do szkoły – Katja zapragnęła mieć swoją własną jabłoń. Wykopała w ogrodzie mały dołek, żeby umieścić w nim całe jabłko.

Wytłumaczyłem jej, że do ziemi należy wsadzić jedynie pestki; widziałem, jak moja matka posadziła w doniczce pestki pomarańczy. Ale Katja nie dała się zbić z tropu i wetknęła do dołka całe rumiane jabłko.

– Na twoim miejscu najpierw zjadłbym jabłko, a potem pestki wypluł do ziemi – przekonywałem.

Katja uważała jednak, że mogłaby przez nieuwagę nadgryźć pestki. Patrzyłem, jak zasypuje ziemią dorodne jabłko.

– Nigdy nie wyrośnie ci z niego jabłko.

– Za sto lat wyrośnie na pewno!

Powiedziałem, że za sto lat ona, Katja, nie będzie już przecież żyła. A kiedy zapytała, dlaczego – wyjaśniłem, że żaden człowiek tak długo nie żyje; może czasem Indianie. Na co Katja odparła z zadowoleniem:

– To dobrze, ja właśnie jestem Indianką!

Potrząsnąłem głową, żeby uwolnić się od tych wspomnień dzieciństwa. Koniec końców jestem za młody na takie rozmyślenia, powiedziałem sobie. Okres patrzenia wstecz przychodzi znacznie później. Dopiero wtedy, kiedy przestaje się myśleć o swojej przyszłości.

O przyszłości co prawda też nie chciałem myśleć, pozostawała zatem tylko teraźniejszość.

Wykręciłem numer Katji. Telefon odebrała pani Bloch. Nieco zachrypłym głosem podałem swoje nazwisko. Na moment zapanowała cisza, po czym matka Katji powiedziała:

– Wszystko już jest w porządku. Chwała Bogu!

– Taak... Jak się czuje Katja?

– Poczekaj, zaraz poproszę ją do telefonu – odparła szybko.

Usłyszałem, jak ostrożnie kładzie słuchawkę na stole i woła córkę.

– Halo – zabrzmiał mi w uchu głos Katji.

Ja również wydusiłem z siebie „halo”, ale dalej już tylko cisza. Znałem to. Katja uważała, że w prowadzeniu rozmowy inni są bardziej kompetentni.

– Jak leci? – wydusiłem po chwili.

– Tak sobie.

– Przyjdiesz do szkoły?

– Nie w tym półroczu.

– Chcesz powtarzać ostatni rok?

– Na to się zanosz.

Zirytowały mnie zarówno moje głupie pytania, jak i jej lakoniczne odpowiedzi. Każde słowo trzeba było z niej dosłownie wyciągać.

– A co teraz zamierzasz?

– Przepisano mi terapię.

– Jaką terapię?

– Jeszcze nie wiem.

Znowu zapadła cisza.

– Czy twoja jabłoń już wyrosła? – zapytałem po chwili.

Roześmiała się krótko, a jej głos stał się bardziej miękki.

– A czy minęło już sto lat?

– Niezupełnie – przyznałem. – Uplęnę dopiero dwanaście lub trzynaście lat z tej setki.

– No to drzewko ma jeszcze czas – stwierdziła Katja.

I nagle stała mi się bardzo bliska. Chciałem powiedzieć jej coś miłego, ale nic nie przyszło mi do głowy. Rzuciłem więc pośpiesznie:

– Jeśli chcesz, możesz czasem do mnie zadzwonić. Siedzę teraz dużo w domu. Muszę się uczyć. Albo przynajmniej powinienem. Idiotyczna matura. To naprawdę wyczerpujące!

– Powodzenia – powiedziała Katja i odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę siedziałem, medytując, czy nie powie-

działem czegoś niewłaściwego, potem wzruszyłem ramionami i odłożyłem rozmowę z Katją do szuflady spraw załatwionych. Stała się znowu jedną ze szkolnych koleżanek, przeżywających jakieś trudności, których nie znałem i których poznać nie chciałem.

Na temat jej listu nie napomknąłem ani słowem. Ona też nie. Nigdy nie rozmawialiśmy o listach, które do mnie pisała. Nigdy też jej nie odpisałem.

Po powrocie ojca do domu opowiedziałem mu krótko o rozmowie z Katją. Nie było zresztą wiele do mówienia. Ojciec wiedział już o jej powrocie. Poprosiłem, żeby dał mi samochód na wieczór, co uczynił niechętnie, gdyż właściwie nie powinienem prowadzić w ciemnościach ze względu na słaby wzrok. Całkiem ślepy jednak nie jestem! Przyrzekłem uważać i ruszyłem do miasta, do Tiny. Tak naprawdę chciałem odwiedzić mojego przyjaciela Jensa, ale on wkuwał. Miał przed sobą jasno wytyczone cele i potrzebował punktów, które zgarniał na klasówkach.

Drzewa, krzaki i pola mijaly mnie ze świstem. Albo raczej na odwrót – to ja je mijalem. Lubilem prowadzić samochód, zwłaszcza jeśli ulice były tak puste, jak u nas na wsi. Myślałem o tym, o czym niedawno gdzieś przeczytałem, że nasza planeta nie ma przyszłości. Nawet bez tych wszystkich trucizn, które produkujemy, i niezależnie od rabunkowej gospodarki zasobami naturalnymi, Ziemia któregoś dnia przestanie istnieć. Za pięćset milionów lat stopi się i skurczy do wielkości kulki do gry. Rzecz nie do wiary! Myśl o tym ścisłała mnie za gardło, chociaż za pięćset milionów lat mnie przy tym z pewnością nie będzie.

Tina mieszka na skraju miasta. Jej rodzice mają tam dom jednorodzinny z ogrodem. Tina nie cierpi tego ogrodu, ponieważ jest duży i dobrze utrzymany, ona zaś musi wnosić swój wkład w jego pielęgnację. Do niej

należy pielienie chwastów i podlewanie kwiatów, a także – odkąd starszy brat się wyprowadził – strzyżenie trawników. Brat przeniósł się do wspólnoty mieszkaniowej, gdzie prowadzi się długie dyskusje i wypija dużo kawy. Wyznaje on przy tym pogląd, że duch może się rozwijać swobodnie tylko w chaosie. Kiedy czasem odwiedzamy go z Tiną w jego komunie, zawsze wygłasza nam wykład na temat ostatnio przeczytanej książki filozoficznej. Potem idziemy się napić piwa i to my płacimy za jego trudne do ugaszenia pragnienie. Rozwijające się bowiem w nieskrępowanej wolności duchy zazwyczaj nie noszą portmonetki w kieszeni.

Zanim zdążyłem zadzwonić, matka Tiny otworzyła mi drzwi. Była to niska, okrągłutka pani o smagłej cerze, ciemnych oczach i włosach, którą – jak sama mówiła – wszyscy brali za cudzoziemkę. Przynajmniej w ośrodku spotkań Niemców z cudzoziemcami, w którym pracuje społecznie. Niedawno stowarzyszenie to przyjęło nazwę: *Miejsce spotkań niemieckich i nienieemieckich współobywateli i współobywatelek*.

– Usłyszałam nadjeżdżające auto – wyjaśniła. – Umówiliście się? Tina chciała się przecież uczyć. Tak przynajmniej zapowiadała. A co z tobą? Masz w głowie wszystko, co potrzebne?

– Absolutnie wszystko – zapewniłem. – A nawet więcej, niż mogłbym wykorzystać.

– No, no – powiedziała, patrząc na mnie kpiąco.

W pokoju włączony był telewizor, więc przechodząc obok, zawołałem:

– Dobry wieczór, panie Gierse!

– Nie ma go tam – roześmiała się matka Tiny. – Jest jeszcze w pracy. Niektórzy nigdy nie potrafią skończyć.

– Inni nigdy nie potrafią zacząć – odparłem, puszczając oko, i zastukałem do pokoju Tiny.

Tina objęła mnie z entuzjazmem.

– Wspaniale, że przyszedłeś! Rozbolały mnie oczy,

a w uszach mam szum. Cały dzień wkuwałam francuskie słówka. Komu w ogóle potrzebny jest francuski? Można się doskonale obejść bez francuszczyzny!

– Nie we Francji.

– Ale dowcipne.

Pociągnęła mnie na łóżko, podsunęła poduszkę, drugą przycisnęła do piersi.

– Co mam z tym fantem zrobić? – zapytałem.

– Mocno trzymać, przytulić się! W tym zimnym świecie potrzebuje się czegoś takiego. Mnóstwa poduszek i pocałunków!

– Hmm, niezła myśl.

– Ale wpiery musisz opowiedzieć coś ładnego.

Opowiedziałem o bieganiu z Oliverem. I o Katji – że znowu jest w domu, ale do szkoły nie wróci.

– Może jest w ciąży – stwierdziła Tina.

– Dokładnie to samo podejrzewała moja matka. Czy ciąża jest jedynym nieszczęściem, które może się przytrafić kobiecie?

– Jeśli da światu takiego milutkiego dzieciaczka jak ty, to oczywiście nie. Ale czy można to z góry przewidzieć?

– Myślę, że rację ma Oliver. Powiedział, że Katja cierpi na jadłowstręt, a pewnie ma także inne problemy. Może coś w domu jest nie tak. Nigdy nie przepadałem za jej matką.

Tina wyskubała piórko z poduszki i połaskotała mnie nim za uchem.

– A co z jej ojcem? Też go nie lubieś?

– Ledwie go pamiętam. Rzadko go spotykałem. U Katji bywałem tylko za dnia, a on oczywiście był wtedy w pracy.

– Oczywiście – powtórzyła Tina drwiąco. – Mężczyzna zarabia pieniądze, a kobieta gotuje, zmywa, wychowuje dzieci...

– Po pierwsze, Blochowice nie mają dzieci, tylko jedno dziecko. Po drugie, pani Bloch nie sprawia wrażenia

kogoś, kto wolałby robić coś innego, niż gotować, zmywać i czyścić. Jest niesamowicie porządną panią domu i także z tego powodu jej nie lubiłem. Moja matka w porównaniu z nią wydawała mi się fletuchem. A po trzecie, ojciec Katji był zupełnie w porządku.

– Po pierwsze, ciężiej jest wychowywać jedno dziecko niż więcej. Po drugie, nie wiesz, ile goryczy, rozpacz i zniweczonych marzeń łąduje właśnie w odkurzaczu. A po trzecie, nie możesz twierdzić, że ojciec Katji był w porządku, skoro go nie pamiętasz. Uważam, że powinniśmy napisać do Katji parę słów. Niech wie, że o niej myślimy.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

– I to zaraz – zdecydowała Tina. – Co mam napisać? Złapała ołówek z biurka i zeszyt z francuskimi słówkami.

– Chcesz napisać do niej po francusku?

Pokazała mi język i machnęła ołówkiem nad pustą stroną.

– Nie mam pojęcia, co moglibyśmy napisać. – Wzruszyłem ramionami.

– Spróbujmy wpierw na brudno. Potem to poprawimy i starannie napiszemy atramentem, na jakiejś ładnej karcie. Zawsze byłeś asem z psychologii. Twój talent zgłębiania ludzkich dusz teraz się wreszcie przyda.

– Co powiesz na: Życzymy poprawy zdrowia i wszystkiego dobrego? – zapytałem.

– Niezwykle oryginalne i szczerze słowa współczucia! Bądź co bądź dorastaliście razem i jako dziecko z nią chodziłeś.

– Nie chodziłem z nią! Poza tym jak mogę jej współczuć, skoro nie wiem, o co chodzi? – powiedziałem, podnosząc się z miejsca.

Rozejrzałem się po pokoju Tyny. U niej zawsze znaleźć można było coś nowego. Jakiś rysunek, kartkę z dowcipnym powiedzonkiem przypiętą do ściany, no-

wą fotografię albo tylko niezwykłą podeszwę buta, znalezioną na ulicy. Najwięcej było obrazów; lubiła rysować. Obrazy były takie jak ona. Lekкими pociągnięciami przekształcała postaci ludzkie w dziwaczne figury, zwierzętom nadawała rys godności i jakiejś wyższości, do której pretensje roszczą sobie ludzie, a jej krajobrazy zdawały się gdzieś odlatywać.

– W każdym razie Katja jest zupełnie inna niż ty – powiedziałem, skończywszy oględziny pokoju.

– Czy mamy jej to napisać? Że jest inna niż ja?

Roześmiałem się.

– Tak czy owak macie jedną wspólną miłość...

– Obie kochamy ciebie! – krzyknęła Tina. – Zgadza się?

– Co za głupoty! Chodzi o motyle. Katja też była całkiem nimi zauroczona. W lecie musiałem ją w drodze do szkoły zawsze popędzać, bo najchętniej pobiegłaby za każdym. A ciebie też muszę mocno trzymać, kiedy w pobliżu fruują motyle.

– O tej porze roku nie ma żadnych – powiedziała Tina trzeźwo. – A na lato trzeba jeszcze trochę poczekać. Siadaj, skończmy ten tekst.

– Nie mam ochoty na gryzmolenie jakichś frazesów tylko dlatego, że nic mądrego nie przychodzi mi do głowy.

– Mądrego! – Tina prychnęła lekceważąco. – Ile napisano by kart i listów, gdyby wszystkie musiały być mądre? Ja po prostu czuję, że ona na coś czeka. Na jakiś mały znak, że o niej myślimy.

– Jeśli tak czujesz, to napisz od siebie. Ja niczego nie czuję – oznajmiłem i natychmiast pomyślałem, że to nieprawda.

W tej jednej chwili zrozumiałem bardzo wiele, chociaż z Katją nie miało to nic wspólnego. Spojrzałem na leżącą obok mnie Tinę. Rude, potargane włosy, szerokie, zawsze skore do śmiechu usta. Często była mi bardzo bliska, a przecież wystarczyło jakieś jedno

zdanie czy spojrzenie, by w jednej chwili stała się obca. Bliska wydawała mi się tylko wtedy, kiedy odkrywałem w niej coś, co chętnie odkryłbym w sobie. Tak jak teraz – gdy trudziła się, żeby napisać do Katji coś miłego.

– O czym myślisz? – spytała Tina.

– O niczym.

– Może ci coś poczytam?

– Nie, raczej nie.

– A o karcie do Katji przestajemy myśleć?

Skinąłem głową. Raptem jednak zapragnąłem napisać tę kartę i nie paplać już o tym więcej.

– Może ona czuje, że myślimy o niej i dobrze jej życzymy – powiedziała Tina, odkładając ołówek i zeszyt.

– Nie sądzę. Katja nie ma zdolności telepatycznych. Nie mogę wyobrazić sobie, żeby odbierała jakieś tajemnicze drgania. Ona nawet czasem nie słyszy, kiedy jacyś bliźni głośno i wyraźnie zagadują do niej. A może po prostu nie reaguje na to.

– To co innego. Słowa wypowiedziane głośno często są kłamliwe – orzekła Tina ze swoją zwalającą z nóg logiką.

Przyciągnąłem ją do siebie i razem stoczyliśmy się z łóżka na podłogę.

– Zapomnij o tym! – krzyknąłem. – Śmiejmy się i Kochajmy, zanim nie będzie za późno. Za pięćset milionów lat słońce, księżyc i gwiazdy zgasną, a nasza Ziemia skurczy się do wielkości kulki do gry.

– I co potem? Kto za pięćset milionów lat będzie się bawił tą kulką? – dociekała Tina.

– Kulkolud – mruknąłem i wsadziłem głowę pod sweter Tyny.

Stałam przy oknie, kiedy Schlüter wchodził przez naszą ogrodową furtkę. A więc to jego wysłali. Nikt inny pewnie nie chciał. Mogłam sobie wyobrazić dyskusję w pokoju nauczycielskim. Co do jednego byli zgodni: ktoś spośród nich powinien tu zajrzeć. Ale kto? Z kim miałam najlepsze stosunki? Spojrzeli po sobie bezradnie. Wtedy pewnie Schlüter powiedział: „Ja tam pójde”. I swoje przyjście zapowiedział telefonicznie.

Matka otworzyła drzwi wejściowe. Wysłałam z pokoju, ale zatrzymałam się na podeście schodów i nasłuchiwałam. Schlüter się przedstawił, a matka zaprosiła go do środka.

Przeszła przez niewielką sień i otworzyła drzwi bawialni, która zawsze wyglądała tak, jak gdyby nigdy nie była używana. Poduszki na otomanie były gładkie i robiły wrażenie nietkniętych. Na ciemnej szafie stały w rzędzie fotografie w srebrnych ramkach, na stoliku przy tapczanie leżała koronkowa serwetka. Nigdzie nie było widać książek ani czasopism. Co Schlüter pomyśli o takim pokoju? Że jest schludny? Zastanawiałam się, jak wygląda pokój mieszkalny Schlütera. Na pewno są w nim książki, ale co poza tym?

– Proszę, niech pan siada. Czy mogę coś panu podać? Kawy czy herbaty? A może kieliszek sherry?

Głos matki brzmiał nienaturalnie, starał się być przymilny.

Scanned

by

ZOE



– Nie, dziękuję za wszystko. Przed wyjściem z domu wypiliśmy z żoną kawę – powiedział Schlüter.

„Weźże coś, jeśli cię częstują” – pomyślałam i nagle uświadomiłam sobie, że współczuję matce, która nie wiedziała, o czym ma rozmawiać z tym obcym człowiekiem.

– Mój mąż powinien wkrótce wrócić z pracy – zaczęła tłumaczyć. – Powiem Katji, że pan przyszedł. Na pewno się ucieszy.

Żeby zająć czymś ręce, złapała płaszcz Schlütera i powiesiła na wieszaku w sieni. Weszła kilka stopni w górę i zobaczyła, że stoję w pogotowiu przed drzwiami mojego pokoju. Zachowała się jednak tak, jakby mnie nie widziała i zawołała głośno:

– Katja! Pan doktor Schlüter przyszedł!

Ukucnęłam na podeście. Matka wróciła do pokoju i usiadła na wprost Schlütera.

– Dawno pani tu mieszka? – zagadnął.

– Kupiliśmy ten dom, jak Katja miała pięć lub sześć lat. Przedtem mieszkaliśmy na południu, to znaczy w południowych Niemczech. Ja pochodzę z północy, urodziłam się koło Lubeki. Wszystko to jest trochę skomplikowane. Mój mąż pochodzi ze Szwabii. Najpierw przenieśliśmy się do Heilbronn, no a potem wyładowaliśmy tutaj. Tak to czasem bywa.

Schlüter skinął głową.

– A ja urodziłem się tutaj. Jestem rodowitym westfalczykiem.

– Z czasem zżyłam się z nowym miejscem. Mój mąż także. Dobrze się tu czujemy. Katja też nigdy się nie uskarżała. Zadowolenie można w końcu znaleźć wszędzie i w każdym mieście. To zawsze zależy od człowieka.

Schlüter nie zamierzał chyba prowadzić dyskusji o możliwościach czerpania zadowolenia z życia. Przypuszczalnie chciał tylko wysondować, czy szkoła może mi w jakikolwiek sposób pomóc.

– Katja była dzieckiem mało absorbującym – ciągnęła dalej matka. – Potrafiła godzinami bawić się sama. Przeważnie fantazjowała. Nigdy nie była niezadowolona, uparta czy trudna, co to, to nie.

Wstała, potem znów usiadła, ale na samym brzegu krzesła, jak gdyby miała lada chwila zerwać się z miejsca.

– Nie należała też do niejadków, choć zawsze była szczupła. Wiele dzieci jest szczupłych. W naszym wieku szybko przybiera się na wadze, ale szczupłe dzieci to nic szczególnego. Są w wielu rodzinach.

– Z pewnością – wtrącił Schlüter.

– Czy pan ma dzieci? – spytała matka.

– Mamy dwie córki.

– Ale pańskie córki nie mają problemów z...

– Nie są chorobliwie chude – powiedział Schlüter sucho. – Raczej mają nadwagę.

– Idealna waga to zawsze kwestia mody. Kiedyś podobowały się cięższe kobiety. Obecnie muszą być chude jak szczapa. Moim zdaniem właściwa waga jest wtedy, kiedy człowiek czuje się dobrze. I o to chodzi. Trzeba się dobrze czuć – powiedziała matka i westchnęła, jakby dobre samopoczucie było ciężkim obowiązkiem. – Katja tak mało mówi o sobie – ciągnęła dalej. – I moim zdaniem w tym tkwi problem. Nigdy nie mówi o tym, co ją gnębi. Mój mąż też wpada w depresje, chociaż Szwabi potrafią cieszyć się życiem. Zawsze są jednak wyjątki. Ale Katja nigdy go nie rozumiała. Albo prawie nigdy. W każdym razie myśmy nigdy z nią o żadnych naszych problemach nie rozmawiali. Czy ma jakieś przyjaciółki? Nie wiem, nigdy żadnej nie przyprowadziła. Może po prostu przebywa za dużo sama. Aha, poza tym lubi malować. Gdyby tylko nie używała zawsze takich ciemnych barw. Kiedyś bardzo przyjaźniła się z Michaeliem Mertensem. Jako dzieci byli nierozłączni. Każdy człowiek potrzebuje przyjaciela. My z mężem należymy do klubu kręglarskiego. To ważne,

żeby czasem spotykać się z innymi ludźmi, nawet jeśli nie zawsze jest to zabawne...

Wstałam i zeszałam na dół. Zapadła cisza. Obserwowali, jak siadam na otomanie. Dopiero potem powiedziałam dzień dobry.

Schlüter kiwnął głową i wymruczał pozdrowienie. Patrzył na mnie tak, jakby mnie przez całe lata nie widział. „Rzeczywiście, sama skóra i kości – pomyślał zapewne. – Dlaczego przedtem tego nie zauważyłem?”.

Mogłabym mu pomóc i podpowiedzieć, że widzi mnie inaczej, ponieważ już wie, że jestem chorobliwie wychudzona. Ale ja nie chciałam mu nic ułatwiać. Potrząsnęłam włosami. Były mokre i wisiały w strąkach aż poza ramiona, niemal całkowicie zasłaniając mi twarz.

– Mogłaś przecież je wysuszyć suszarką – powiedziała matka.

– Nigdy nie używam suszarki – odparłam.

– Wielka szkoda, że pani zachorowała tuż przed maturą – zagaił Schlüter.

Spojrzałam mu wprost w oczy. Nie czuł się chyba zbyt dobrze w swojej skórze. Zauważyłam to i skierowałam wzrok w stronę okna.

– I tak nie zdałabym matury. Ostatnio nic nie robiłam.

– Jeśli pani tak to widzi... Niemniej jednak szkoda. Poza tym cieszyłoby mnie, gdyby pani współpracowała z naszą grupą teatralną. Wie pani zapewne, że na zakończenie roku chcemy wystawić sztukę?

– Tak, chętnie wzięłabym w tym udział – odparłam uprzejmie – gdyby to było możliwe.

– Katja jako dziecko zawsze lubiła się przebierać – wtrąciła matka, a ja poczułam nagle, jak robię się czerwona.

Dlaczego musi opowiadać mi o moim dzieciństwie? Co ona o tym wie? Byłam wściekła, ale bąknęłam tylko:

– Tak robią wszystkie dzieci.

– Może jednak mogłabym coś panu podać? – zapytała matka.

– Ja napiłabym się koniaku – powiedziałam.

– Katja!

– To ja też poproszę o koniak – uśmiechnął się Schlüter.

Spojrzał na mnie niepewnie, próbując znaleźć w moich oczach podziękowanie za przyście z pomocą.

Matka tymczasem postawiła na stoliku kieliszki i karafkę. Nalała.

– Na zdrowie!

Niezgrabnie i nienaturalnie wysoko uniosła kieliszek, po czym umoczyła w koniaku usta.

Opróżniłam swój jednym haustem, Schlüter zaś upił lyk i odstawił kieliszek na podstawkę.

– Jakie ma pani plany? Czy będzie pani zdawać maturę w przyszłym roku?

– Jeszcze nie wiem. Jutro pierwszy raz jadę do kliniki psychosomatycznej.

– To nie jest klinika psychiatryczna – natychmiast wyjaśniła matka. – Zajmują się tam raczej niegroźnymi wypadkami: migreny, zaburzenia w odżywianiu się i tak dalej. Ta klinika nazywa się „Pomoc życiowa”.

– Kiedy jest się chorym, potrzebna jest pomoc i należy z niej korzystać. Obojętnie, jak taka klinika będzie się nazywała – powiedział Schlüter i dopił swój koniak. – A szkołę niech się pani nie martwi. Nie ucieknie. Proszę skoncentrować się na sprawach, które w danej chwili wymagają pani uwagi. Kiedy poczuje się pani lepiej, świat też będzie inaczej wyglądał...

Schlüter chyba sam był zaskoczony tym, co powiedział. Jego spojrzenie błąkało się po ścianach naszego pokoju, jakby w poszukiwaniu jakiejś książki, na której mogłoby spocząć. Może chciał mi powiedzieć coś, co dodałoby otuchy, coś osobistego, ale w tym otoczeniu wyszłyby z tego tylko puste banały.

Postanowiłam ułatwić mu wydostanie się stąd i wstałam. Schlüter podniósł się natychmiast.

– A więc wszystkiego dobrego! Jeśli będziesz potrzebowała jakiejś pomocy w szkolnych sprawach, możesz każdej chwili zwrócić się do mnie.

W końcu jednak zaniechał tego głupiego mówienia *per pani!* Podałam mu rękę, podziękowałam i ruszyłam schodami w górę, nie czekając, aż Schlüter pożegna się z matką. Jej głos towarzyszył mi do drzwi mego pokoju.

– Bardzo dziękuję za wizytę. To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że pan do nas wstąpił. Wiem, że jest pan bardzo zajęty, zwłaszcza teraz, kiedy ma pan tyle pracy przed egzaminami maturalnymi. Sprawił mi pan wielką przyjemność, a Katja z pewnością też się bardzo ucieszyła. Ona żałuje, że nie może zdawać matury razem z innymi. Zawsze miała pecha. Mam na myśli jej konfirmację – była konfirmowana osobno, bo właśnie w przeddzień zachorowała. Do widzenia, panie doktorze!

– Do widzenia, pani Bloch!

Obserwowałam przez okno wychodzącego nauczyciela. W chwili gdy stanął przed domem, z samochodu zaparkowanego na skrawku gruntu wysiadł właśnie mój ojciec. Spojrzał na Schlütera, jakby chciał go o coś zapytać, ale skinął tylko głową na znak powitania, otworzył bramę, którą tamten właśnie za sobą zamknął, i wszedł do ogrodu.

Schlüter zniknął za jodłami, a ja położyłam się na łóżku. Kiedyś na zajęciach dla konfirmantów pomyliłam słowa: konfirmacja i konwersacja. Kiedy zebrani skończyli się śmiać, proboszcz zapytał, jak należy te obce słowa rozumieć. Nikt nie wiedział, więc wytłumaczył ich znaczenie, a ja zajrzałam w dom do leksykonu i przekonałam się, że mają one ze sobą wiele wspólnego. Na fotografii z konfirmacji sprawiam wrażenie smutnej. Nie wyglądam na aktywną członkinię parafii kościelnej, lecz na kogoś samotnego, nie związanego

z jakąkolwiek wspólnotą. Siedząc w atelier na jedynym krześle, wpatrywałam się w obiektyw. Stojąca za fotografem matka dawała mi znaki, żebym się uśmiechała, ale ja pozostałam poważna. Do śmiechu trzeba mieć przecież powód, tak samo jak do łez. Ja nie widziałam żadnego.

Po chwili matka zapukała do moich drzwi, zajrzała.

– Może napijesz się z nami kawy?

Potrząsnęłam głową odmownie.

– Miły człowiek z tego doktora Schlütera – powiedziała. – Z pewnością troszczy się o swoich uczniów.

– Wykonuje tylko swój obowiązek! – rzuciłam ostro, a widząc zawiedzioną twarz matki, dodałam: – No, może robi trochę więcej.

Nazajutrz padał deszcz. Koło południa zaczął wiać silny wiatr, który przeszedł w gwałtowną burzę. Deszcz walił w szyby, gałęzie drzew gięły się do ziemi, a ludzie pędem uciekali z ulic do domów.

– Przyjadę trochę później, jak tylko minie burza – zapowiedział przez telefon Rainer.

– Dobra – zgodziłam się.

Rainer jest pedagogiem społecznym i pracuje w poradni, którą wyszukała moja matka. Kilka razy rozmawialiśmy. Wyjaśnił mi, że takie wychudzenie organizmu jest poważną chorobą. Próbował wydobyć ze mnie coś na temat stosunku do rodziców. Na temat kontaktów z rówieśnikami. Na temat stosunku do własnego ciała. Postawił wiele pytań, na które otrzymał niewiele odpowiedzi. Nie umiem o tych sprawach opowiadać.

Po moim zniknięciu i powrocie Rainer zaproponował, żebym spróbowała poddać się terapii w zakładzie zamkniętym, a ja, ku jego wielkiemu zaskoczeniu, wyraziłam zgodę. Nie miał pojęcia, że zrobiłam to tylko dlatego, żeby nie być w domu i nie chodzić do szkoły. A on cieszył się, że jestem gotowa skorzystać z pomocy.

– Jeśli nie potrafisz rozmawiać ze mną, to może uda ci się to z kimś innym – powiedział.

O moim zniknięciu powiedziałam mu niewiele, tylko tyle, że byłam w mieszkaniu pewnego znajomego, który w tym czasie leżał w szpitalu.

– Nie, nie myślałam wtedy ani o rodzicach, ani o szkole – wyjaśniłam Rainerowi. – Leżałam tam tylko na łóżku i patrzyłam przez okno, jak zmienia się kolor nieba od wczesnego rana do wieczora.

– Nie wierzę ci, ale to twoja sprawa – powiedział Rainer.

Stojąc teraz przy oknie i obserwując wstrząsane wiatrem drzewa, poczułam się nagle silna. Nie chciałam już odejść. Chciałam zostać w domu.

Zbiegłam na dół i powiedziałam matce:

– Nie chcę jechać do tej kliniki. Poradzę sobie bez pomocy obcych.

– Ależ dziecko! Tak nie można. Oni cię tam oczekują!

Ogarnęła mnie nienawiść. Poczułam pogardę. Czy ona zawsze musi myśleć o tym, czego oczekują inni?

Po południu burza ustała. Matka zataszczyła walizkę pod drzwi, a Rainer zaniósł ją do auta. Małą torbę podróżną trzymałam w ręku.

– Wszystko będzie dobrze – mówiła matka ze łzami w oczach.

– Tak – potwierdziłam i objęłam ją sztywno.

Zanim wsiadłam do auta, odwróciłam się i dodałam:

– Pozdrów ojca.

Matka pomachała za odjeżdżającym samochodem. Czy była smutna? A może odczuła ulgę? Wierzyła, że w klinice zrobią to, co należy? Bo wszyscy inni – proboszcz, nauczyciel, lekarze, terapeuci – wiedzą, co jest właściwe.

Zachodzące słońce zabarwiło chmury jasną czerwień. Gdzieś tam niebo lśniło czystym błękitem. Drze-

wa stały w bezruchu. Żadna gałąź ani drgnęła. Chmury zawisły nieruchomo. Wydawało się, że cała przyroda znalazła swoje ostateczne miejsce.

– Jak pięknie – powiedziałam. – Krajobraz jakby skamieniał.

– Uważasz, że to piękne? – spytał Rainer. – Mnie wydaje się to raczej niesamowite.

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam głowę w stronę bocznej szyby i patrzyłam, jak domy, lasy, pola zostają za nami. Na ciemnej ziemi nic nie rosło. Pola pograżone były jeszcze w zimowym śnie. Kawki zbierały się w wielkie stada, po niebie samotnie żeglował myszołów. Myślałam o kasetach z farbami, które zabrałam ze sobą. Myszołów na tle czerwonej chmury, a dalej stalowoniebieskie niebo. Namaluję taki obraz.

Rainer włączył radio.

– Lubisz słuchać muzyki?

– Nie za bardzo – przyznałam.

Zaczął więc szukać innej stacji. Złapał wiadomości; najnowsze meldunki o grozie wojen i terrorze. Wyłączył radio.

– Ogarnia cię strach, kiedy słuchasz takich wiadomości o wojnie i przemocy? – zapytał.

Wzruszyłam tylko ramionami, ale w myślach ciągnęłam tę rozmowę:

„W tej chwili – nie. Nie umiem skoncentrować się na innych sprawach. Mogę myśleć tylko o sobie. To jest niedobre. Chociaż to niezupełnie tak. Gdybym myślała o tym, co dzieje się na świecie, odczuwałabym tylko strach, że istnieją rzeczy tak okrutne. Za te pieniądze, które wydaje się na wszystkie wojny, można by nakarmić wielu ludzi. Może nawet wszystkich tych, którzy teraz głodują i muszą umrzeć z głodu”.

Wyobrażam sobie, co odpowiedziałyby mi Rainer: „Właśnie ty martwisz się o zjawisko głodu? Ty, która dobrowolnie się głodzisz? Ale masz rację – widok głodujących może sprawić, że serce pęka”.

A ja powiedziałabym: „Ludzie są obojętni. Ich serce nie pęka tak łatwo”.

Skończyłam tę niemą rozmowę i skupiłam się na obserwacji szarej autostrady. Ulicy, po której wolno jeździć tylko w jednym kierunku. Gdyby ktoś ruszył w odwrotnym, uznano by go za ducha kierowcy.

Nagle ogarnęła mnie chęć, by odpiąć pasy bezpieczeństwa, otworzyć drzwiczki i wyskoczyć. Przeraziło mnie to i szybko pomyślałam o czymś innym.

Zacząłam liczyć. Pięćdziesiąt jeden razy sto siedemnaście równa się pięć tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt siedem. Czterysta dwadzieścia pięć razy siedem równa się dwa tysiące dziewięćset siedemdziesiąt pięć.

Zabawę z liczbami wymyśliłam w dzieciństwie, kiedy w nocy nie mogłam zasnąć i bałam się. Liczby, którymi operowałam, były wtedy mniejsze, ale strach pozostał dokładnie taki sam.

– O czym myślisz? – zagadnął Rainer.

– O niczym.

– To jest najtrudniejszy stopień w medytacji...

– Bezmyślność? – zapytałam ironicznie.

– Nie. Chodzi o osiągnięcie stanu wewnętrznego spokoju, którego nie zakłócają żadne myśli.

Nic na to nie odpowiedziałam.

Znowu stanął mi przed oczami obraz matki machającej ręką na pożegnanie. Miała łzy w oczach. Ja nie. Czułam się tak, jakby mnie wyrzuciła z domu. Nawet jeśli sama zdecydowałam się na wyjazd, miałam nadzieję, że w ostatniej chwili powie: „Nie jedź tam, rozwiążemy te problemy razem – we dwie”.

Ona jednak nic takiego nie powiedziała. Nigdy by nie powiedziała. Nie znała mnie i nie chciała mnie poznać.

Zacząłam od nowa mnożenie.

Po chwili Rainer poprosił, żebym ze schowka na rękawiczki wyciągnęła notatkę z opisem drogi i głośno ją przeczytała. Informacje były jasne i kiedy opuściliśmy

autostradę, dawałam mu wskazówki, kiedy ma skręcić w lewo lub w prawo, a kiedy jechać prosto. Bez trudu znaleźliśmy osobno stojący budynek z żółtej cegły.

Dom był z zewnątrz i od wewnątrz jasno oświetlony, jak gdyby odbywała się tam jakaś feta. Rainer w jedną rękę wziął moją walizkę, a drugą oparł opiekuńczo na moim ramieniu.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte. W holu siedzieli lub stali mężczyźni i kobiety i przyglądali się nam z ciekawością.

– Biuro jest na końcu korytarza – powiedział jeden z mężczyzn.

Znaleźliśmy właściwe drzwi i zapukaliśmy, ale nikt nas nie poprosił do środka. Nagle za moimi plecami usłyszałam głos nabrzmiały silnie akcentowaną serdecznością:

– Noo! Jesteś nareszcie!

Odwrociłam się. Jakaś kobieta objęła mnie z radością i tak serdecznie, jakby od wielu dni tylko na mnie czekała.

– Moja droga! To wspaniale, że przyjechałaś!

„Jakaś zwariowana pacjentka – pomyślałam. – Pomyliła mnie z kimś innym”.

– Ach, dzień dobry – powiedział Rainer i podał kobiecie rękę. – Rozmawiałem z panią przez telefon. Przyjechaliśmy trochę później, bo przed południem była straszna burza.

– Nic nie szkodzi. Proponuję, żebyśmy poszli do jadalni, a ja każę zaraz przynieść wam coś do jedzenia. A może nie masz apetytu, Katja?

Nie czekając na odpowiedź, zaprowadziła nas do jadalni. Przyjrzałam się jej dobrze. Ubrana była w rzucającą się w oczy jaskrawą suknię w kwiaty, na nogach miała buciki na wysokich obcasach. Jej włosy były żółte jak słoma.

– Jestem Rosmarie – przedstawiła się, stając przed jednym ze stołów w jadalni. – Będziemy mieć codzien-

nie ze sobą do czynienia. Przynależę do wszystkich: do nowych, do starych i do zwolnionych.

Zwolnieni – to słowo zabrzmiało dziwnie. Również owa Rosmarie wydała mi się dziwna. Poczułam, że jej nie lubię.

Śmiała się głośno, a jednocześnie bacznie mnie obserwowała. Ja się nie śmiałam. Nawet się nie uśmiechnęłam. Jak dotąd, Rosmarie nie powiedziała nic zabawnego.

– Tak oni wszyscy wyglądają pierwszego dnia – ciągnęła dalej – ale wkrótce opór ustaje, a potem są zadowoleni, kiedy wpadają w czułe ramiona innego człowieka.

Rainer uśmiechnął się z przymusem. Rosmarie wyciągnęła jakieś papiery, które miałam podpisać. Umieściłam swoje nazwisko na kresce z objaśnieniem: *Podpis pacjenta*.

– Nie przeczytasz najpierw tego, co podpisujesz? – zapytał Rainer.

Wzruszyłam ramionami. Chciałam mieć tylko święty spokój.

– To nie wyrok śmierci – powiedziała Rosmarie. – Raczej swego rodzaju nowy początek. Podjęłaś decyzję. Po co ci znajomość tych wszystkich paragrafów i spraw ubezpieczeniowych? Twój ojciec i tak cię ubezpieczył. Od tej chwili musisz się skoncentrować na jednym: musisz wyzdrowieć. Niech inni zatroszczą się o ten cały biurokratyczny kram! Dla ciebie ważny jest jedynie regulamin naszego domu. Powinnaś zachowywać się tak, żeby ani sobie, ani innym nie zakłócać procesu zdrowienia. Żeby ich wspierać, nie zostawiać na lodzie i ze wszystkich sił, z całą pomysłowością współpracować z nimi. Tak jest przecież w każdej rodzinie, a my tu też tworzymy coś w rodzaju rodziny. Tyle że nieco większej. Naszym programem jest wzajemna pomoc i umacnianie. Jesteś teraz członkiem kręgu, który zawsze

trzyma się razem. Ale ja gadam i gadam. Może ty też chciałabyś coś powiedzieć?

Pokręciłam głową, mając nadzieję, że i ona w końcu zamilknie.

– Cóż, to się kiedyś zmieni. Nawet najgrubszy lód się topi, jeśli promienie słońca ogrzewają go dostatecznie długo. A moim zdaniem ty nie jesteś szczególnie grubą taflą lodu!

Rosmarie uśmiechnęła się figlarnie i klepnęła mnie po przyjacielsku. Odpowiedziałam wzruszeniem ramion.

Usiedliśmy wreszcie przy stole i jakaś starsza kobieta przyniosła na tacy herbatę i kanapki. Rainer zjadł kawałek chleba z serem, ja lyknęłam tylko miętowej herbaty.

– A jak jest z odwiedzinami i korespondencją? – zapytał Rainer.

– Przez dwa tygodnie żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym. Żadnych listów, telefonów, odwiedzających. Brzmi to może dość twardo, ale stwierdziliśmy, że bardzo ważne jest, aby natychmiast nastawić się na nową rodzinę. Inni tylko przeszkadzają swoimi troskliwymi pytaniami. To jest tak, jak z małymi dziećmi w szpitalu: po odwiedzinach matek dzieci marudzą i tęsknią za domem. Tego zaś chcemy uniknąć. Wszyscy przecież jesteśmy w jakiś sposób dziećmi... – powiedziała Rosmarie i posłała mi promienny uśmiech.

Nie doczekawszy się z mojej strony żadnej reakcji, dodała sucho:

– We wszystkich placówkach psychoterapeutycznych jest taki zwyczaj, że członkowie rodzin pozostają na zewnątrz. Zresztą to właśnie oni są często sprawcami problemów.

Rainer miał minę nieszczęśliwą i zafrasowaną, kiedy żegnał się ze mną.

– Początek będzie na pewno trudny – powiedział. –

Ale jeśli chodzi o blokadę kontaktów, to chyba nie będziesz mieć z tym problemów, bo sama ją sobie narzuciłaś.

Próbował się roześmiać, ale wypadło to żałośnie. Uścisnął mi dłoń.

– Jeśli to miejsce nie będzie dla ciebie odpowiednie, zabiorę cię stąd.

Dotknęłam rękawa jego marynarki i powiedziałam:

– Nie martw się. Nie ty urządziłeś ten świat.

– Odwiedzę cię za czternaście dni, natychmiast jak minie ten okres – uśmiechnął się nieśmiało i poszedł.

Rosmarie zaprowadziła mnie do wyznaczonego pokoju. Mówiła teraz mniej, prawdopodobnie powiedziała już wszystko, co „nowa” wiedzieć powinna.

Pokój miałam dzielić ze starszą panią, mniej więcej w wieku mojej matki. Kiedy podałam jej rękę i przedstawiłam się, spojrzała na mnie z jawną niechęcią.

– Hilda – powiedziała krótko i natychmiast puściła moją dłoń.

– Nie przerażaj się chłodnym powitaniem naszej Hildy – uspokoiła mnie Rosmarie. – Jest niezadowolona, bo dano jej do pokoju młode stworzenie, a ona woli raczej towarzystwo osób w swoim wieku. Ale jednym z naszych celów jest właśnie nauka robienia tego, czego się nie lubi. Nie powinno się zawsze wydlubywać rodzynek z ciasta, jak to robią dzieci. Rozpakuj teraz spokojnie swoje rzeczy. Potem może będziesz miała ochotę przyjść do holu albo do jadalni i poznać paru ludzi. Nie obawiaj się niczego, wszyscy przyjmą cię serdecznie.

Kiedy Rosmarie zamknęła za sobą drzwi, usiadłam na łóżku i rozejrzałam się po pokoju. Na przeciwległej ścianie wisiały fotografie i obrazy namalowane przez Hildę – na wszystkich widniał jej duży i wyraźny podpis.

– Można tu będzie malować? I czy jest tutaj nauczyciel rysunku? – zapytałam.

– Terapeuta od sztuki? Dużo czasu minie, zanim będziesz mogła brać udział w terapii sztuką. Najpierw będziesz musiała wykazać się postępami!

Nie rozumiałam, co chciała przez to powiedzieć, ale nie zadawałam dalszych pytań. Rozpakowałam walizkę, włożyłam swetry i bieliznę do szafy, którą dzieliłam z Hildą. Spodnie położyłam na dnie szafy – na wszystkich wieszakach wisiały suknie, spódnice i spodnie Hildy. Od jak dawna ona tu jest? Jak długo chce jeszcze pozostać?

Hilda wyszła z pokoju, nie pytając mnie, czy chciałabym pójść razem z nią. I tak bym nie poszła. Krótko przed dziesiątą wróciła, a zaraz za nią wkroczyły do naszego pokoju dwie panie w białych kitlach, żeby nam życzyć dobrej nocy.

Jedna z nich, która przedstawiła się jako Kristine i była chyba lekarką, powiedziała mi, żebym jutro o wpół do dziewiątej przyszła do gabinetu lekarskiego na badanie. Kristine jest silnie zbudowaną, wysoką kobietą o krótko obciętych włosach. Ma głęboki głos i spokojne oczy. Nie próbowała umykać przed moim spojrzeniem lub chronić się za słowami. Przez jakiś czas mierzyłyśmy się wzrokiem, w końcu się uśmiechnęła i powiedziała:

– A więc o wpół do dziewiątej!

Zaraz potem Hilda zgasiła swoją lampkę nocną, a ja też pstryknęłam wyłącznikiem. Leżałam z otwartymi oczami i wpatrywałam się w sufit. Oświetlenie na zewnątrz budynku rzucało plamę światła nad łóżkiem Hildy.

– Śpisz już? – zapytała.

Nie odpowiedziałam. Może chciała mi opowiedzieć historię swojego życia, a ja na to nie miałam ochoty.

– Dobranoc! – rzuciła po chwili i odwróciła się na bok.

Wspominałam podróż tutaj: kawki zbierające się na polach i ptaka samotnie żeglującego po niebie. To był

myszolów. Moja matka przy bramie. Schlüter przy bramie. Mój ojciec przy bramie. Michael w ogrodzie. Potem przyśnił mi się taki sen:

Bawiłam się na łące. Świeciło słońce, było jasno i ciepło. Na łące rosły kaczeńce o bardzo krótkich łodyżkach. Pomyślałam, że nie urosły dlatego, że łąka była za mało wilgotna. Pochyliłam się i zerwałam kilka kwiatów. Nagle usłyszałam za sobą czyjeś kroki. Nie obejrzałam się. Upuściłam kwiaty, zerwałam się i uciekłam do lasu. Biegłam między jodłami i świerkami, aż znalazłam się na leśnej polanie. Rosły na niej tylko dwa grube dęby i wysoka, sięgająca mi poza kolana trawa. Na skraju polany stał mały domek. Dobiegłam do niego. Domek miał tylko jedno pomieszczenie. Na środku pokoju stało zwykłe drewniane krzesło. Usiadłam na nim z ulgą. Uderzenia serca uspokoiły się. Oglądałam ze zdziwieniem puste ściany, gdy nagle usłyszałam dochodzące z zewnątrz głosy. Niektóre coś szeptały, inne były głośniejsze. Nie mogłam jednak zrozumieć słów, gdyż wypowiadano je w jakimś nieznanym mi języku. Serce zamarło mi ze strachu, gardło było jak zasznurowane. Siedziałam na krześle sztywna z przerażenia, zatykając sobie uszy palcami.

Obudziłam się. Serce biło mi szybko i głośno. Przełknęłam ślinę. Krtań miałam tak wysuszoną, jakbym jadła mąkę. Nie miałam odwagi wstać i nalać sobie wody.

– Pięćset razy sześćdziesiąt siedem – wyszeptałam, ale byłam zbyt wytrącona z równowagi, żeby to policzyć.

Wysyłałam nieme wołania o pomoc: Drogi Michaelu. Droga matko. Drogi Rainerze. Drogi ojcze. Drogi panie Schlüter. Drogi Michaelu. Wyjechałam. Do krainy, gdzie cały czas świeci słońce. Gdzie zielone jaszczurki wylegują się na kamiennych murach. Gdzie motyle są w tak wielkich rojach, jak stada kawek. I gdzie fale oceanu obejmują plaże.

O siódmej rano zadzwonił budzik Hildy. Zerwała się przerażona, gorączkowo ściągnęła z siebie nocną koszulę, przywdziała dres do joggingu i wypadła z pokoju.

Pozostałam w łóżku. Hilda wróciła po kilku minutach, mrucząc coś pod nosem. Nagle stanęła przed moim łóżkiem i krzyknęła ze złością:

– Pomyliłam się! Poranna gimnastyka zaczyna się przecież dopiero o wpół do ósmej. Dlatego nastawiłam budzik na siódmą, żeby tak nie gnać. Teraz wszystko mi się pokiełbało. A ty też musisz brać udział w tych zajęciach. Wszyscy muszą!

– Nigdzie nie idę – powiedziałam.

– To cię sprowadzą. Poranna gimnastyka jest obowiązkowa.

Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła przeglądać jakieś czasopismo.

Krótko przed wpół do ósmej ktoś, idąc korytarzem, wołał głośno:

– Wstawać! Gimnastyka! Wstawać!

Nie miałam na to najmniejszej ochoty. Dopiero kiedy Hilda wróciła zziębnięta i z zaczerwienionymi policzkami, wstałam i poszłam do łazienki.

– Mogłaś się umyć, kiedy mnie nie było! – krzyknęła Hilda przez drzwi. – Teraz sterczę tu i nie wiem, co robić.

Umyłam się szybko i wyszłam z łazienki w samych majteczkach. Hilda spojrzała na mnie.

– Też mam córkę niejadka. Ohyda, jak wy wyglądacie! Można wam wszystkie żebra policzyć!

Ubrałam się i poczekałam na Hildę. Poszłyśmy razem do jadalni, lecz zaraz przy drzwiach pozostawiła mnie samą sobie. W tej chwili jednak podeszła do mnie Rosmarie i zaprowadziła do stolika, przy którym siedziały cztery wychudzone dziewczyny.

– To jest stół dla anorektyczek – oznajmiła.

Usiadłam. Siedząca obok dziewczyna podała mi rękę.

– Jestem Ulrike. Żrę i głodzę się na zmianę.

Pozostałe trzy też przywitały się ze mną, podając ponad stołem ręce i wymieniając swoje imię wraz z informacją o chorobie. Wszystkie były mniej więcej w moim wieku.

– A ty? – zagadnęła jedna z nich. – Masz tylko anoreksję czy także bulimię?

– Co to jest? – zapytałam, nie wiedząc, o czym mówi.

– Czy tylko się głodzisz, czy także wyrzucasz jedzenie?

– Ja po prostu nie mam apetytu – odparłam, wpatrując się w bułkę leżącą przede mną na talerzu.

– Nie uwierzysz! – zawołała Ulrike, smarując masłem obie połówki bułki. – W ciągu dwóch miesięcy przytyłam sześć kilogramów. Jak tak dalej pójdzie, będę musiała znów zacząć jeździć do rygi.

– Psst! – syknęła jedna z dziewcząt. – Tutaj ściany mają uszy. – I spojrzała na mnie prosząco.

Wpatrywałam się nadal w swoją bułkę, gdy ktoś stojący za mną dołożył mi jeszcze jedną na talerz, a męski głos powiedział ironicznie:

– To całkiem proste. Bierze się nóż, rozcina bułkę, smaruje połówki masłem, może jeszcze twarożkiem lub dżemem, a potem prawą ręką wprowadza się smakołyk do zgłodniałej paszczy!

Odwrociłam głowę, żeby zobaczyć, kto tak sobie zuchwale poczyta.

– Przez najbliższe miesiące, a nawet dłużej, jeśli zajdzie taka potrzeba, będę twoim terapeutą – powiedział mężczyzna.

Był wysoki i szczupły, miał brodę i okulary, przez które jego oczy wydawały się małe i kłujące. Kiedy poszedł dalej, Ulrike szepnęła:

– Prawie wszystkie kobiety kochają się w nim.

On tymczasem usiadł obok Rosmarie, lekarek i dwóch innych terapeutów. Ich stół stał bardzo blisko naszego, jak się później dowiedziałam, żeby mogli mieć

na oku wstrzymujące się od jedzenia anorektyczki. Inni pacjenci nie mieli żadnych problemów z jedzeniem. Im smakowało. Zmusiłam się do przełknięcia kilku kęsów i popicia ich obficie kawą. Pozostałe dziewczyny jadły swoje bułki z przyjemnością.

Na krótko przed wpół do dziewiątej Kristine uwolniła mnie od mozolnego przeżuwania i zabrała na badanie. Poszłyśmy do pokoju, który wyglądał jak gabinet lekarza ogólnego. Osluchiwała mi płuca, zmierzyła ciśnienie i tętno, stuknęła w kolano, zajrzała do gardła i do uszu, obmacała węzły chłonne, obejrzała oczy. Badanie nawet mi się podobało. Byłam pewna, że nagle znajdzie coś w moim ciele i zawoła z zadowoleniem: „Tu mamy twój problem! Musimy go tylko usunąć i wszystko będzie dobrze!”.

Ale ona nie znalazła żadnego takiego defektu. Badala mnie dalej i w trakcie tych czynności zadawała pytania o przebyte w dzieciństwie choroby, jak również o choroby matki i jej rodziny, a potem o choroby ojca i jego rodziny.

– Co to ma wspólnego ze mną? – zapytałam.

– Chodzi o to, czy ewentualnie nie przekazali ci jakichś schorzeń rodzinnych – wyjaśniła z uśmiechem.

– Ale ja wiem bardzo mało o rodzinach moich rodziców. Ojciec mojej matki ma astmę i nigdzie się nie rusza bez lekarstwa w spreju. Matka cierpi na migreny, ojciec przez jakiś czas brał pigułki antydepresyjne. O niczym innym nie wiem.

– No, dobrze – powiedziała Kristine. – Kończę więc te pytania i powiem ci, co stwierdziłam, jeśli chodzi o twój stan fizyczny. Najpierw sprawa wagi. Czterdzieści trzy kilogramy to stanowczo za mało dla dziewczyny czy młodej kobiety, która ma metr siedemdziesiąt wzrostu. Wygląda na to, że twoje narządy funkcjonują jeszcze dobrze. Jak to jest z twoim chudnięciem? Bierzesz środki przeczyszczające? A może idziesz po

posiłku do ubikacji, wsadzasz palec do gardła, żeby wszystko wymiotować?

Zaprzeczyłam ruchem głowy. Kristine spojrzała na mnie uważnie.

– Może zatem twój przewód pokarmowy jest jeszcze w porządku albo przynajmniej nie tak groźnie uszkodzony, może przełyk nie jest jeszcze przeżarty kwasem żołądkowym. A przy okazji: uważasz, że takie wychudzenie jest ładne?

Wzruszyłam ramionami.

– A jak jest z miesiączką?

– Mam czasem, ale rzadko.

– Jeśli nie przybierzesz na wadze, ustanie zupełnie.

– Nie odczuwam jej braku.

Kristine uniosła wysoko brwi.

– Masz chłopaka?

Zaprzeczyłam.

– A przyjaciółkę?

Znowu potrząsnęłam głową.

– No to z kim rozmawiasz o swoich radościach i zmartwieniach? – dopytywała się Kristine.

Przełknęłam ślinę, próbując powstrzymać łzy ciskające się do oczu. Chciałam powiedzieć: „Z tobą, z tobą mogłabym rozmawiać, ale nie wiem, jak”.

– Dlaczego masz tak ściśnięte gardło? – zapytała Kristine smutno i położyła mi dłoń na ramieniu.

Łzy popłynęły mi po policzkach. Nawet nie próbowałam ich wytrzeć, zacisnęłam tylko mocno usta i splotłam ręce.

Kristine położyła chusteczkę do nosa na brzegu stołu i zapytała:

– Nie chciałabyś mi trochę o sobie opowiedzieć?

Potrząsnęłam głową. „Tak, chciałabym ci opowiedzieć – myślałam. – Chiałabym ci opowiedzieć o wszystkim, o czym chciałabyś wiedzieć. Ale nie mogę. Nie mam pojęcia, co chciałabyś wiedzieć”.

– Czy muszę? – zapytałam ochryplym głosem.

Teraz Kristine zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, nie musisz. Mam czas. Czas, którego potrzebujesz.

Byłam tak podminowana, jakbym dopiero co odkryła, że nie jestem jedynym człowiekiem na ziemi. Hildegard na szczęście nie było w pokoju. Z uczuciem ulgi usiadłam na krześle. Patrzyłam na trzymaną w ręku mokrą chusteczkę jak na jakiś cenny dar, a potem rozjerzałam się, jakby szukając dobrego schowka. W tym momencie weszła Hilda i skomentowała moje zapłakane oczy:

– Każdy na początku tak reaguje. Wszystko wydaje się wtedy straszne.

– Nie, mnie jest dobrze! – zaprzeczyłam.

– W takim razie były to pewnie łzy radości – powiedziała szyderczo.

Po kolacji wróciłam do pokoju i napisałam list do Michaela. Pisałam ołówkiem. Przypominało mi to pierwsze lata w szkole, kiedy każde słowo wymazywałam i wpisywałam je w to miejsce na nowo, i ponownie, i jeszcze raz, dopóki nie wyglądało pięknie.

Drogi Michaelu,

ostatniej nocy miałam znowu zły sen. Miewam je zresztą często. Dlaczego tu miałyby przestać mnie dręczyć? Nie lubię kobiety, która mnie tutaj przyjmowała. Nie ufam jej. W jadalni siedzę przy stole z czterema anorektyczkami. Jestem jakoby jedną z nich. Współlokatorka z pokoju jest nieprzyjazna, ale to mi zbytnio nie przeszkadza, bo poza tym zostawia mnie w spokoju. Nie jestem ani smutna, ani szczęśliwa. I tak jest od dawna. Czekam na to, co się wydarzy. Mam nadzieję, że noce nie będą takie przerażające. Dzisiaj płakałam. Dziwne to było. Ja rzadko płaczę. Lubię tę lekarkę, która doprowadziła mnie do płaczu. Ma na imię Kristine i niski, budzący zaufanie głos. Ty może tego nie zrozu-

miesz, to znaczy powodu mojego płaczu. Ja sama go nie rozumiem! Nie wiem nawet, dlaczego tu jestem. Może tylko dlatego, żeby nie być gdzieś indziej.

Powodzenia na klasówkach! Schlüter odwiedził mnie w domu.

Powiedziałam mojej matce, że jesteś moim przyjacielem. Ona nie wymyśliła tego sama. Chciałam po prostu wymienić jakieś imię, żeby nie myślała, że nie mam żadnego chłopaka.

Katja

Michael

W środę mieliśmy sprawdzian z niemieckiego. To była przedostatnia praca pisemna. Oddając arkusze, byłem raczej dobrej myśli.

Tina jeszcze nie skończyła, więc usiadłem na schodach przed szkołą i czekałem na nią. Z budynku wyszli Frank, Jens i Mark. Wyglądali na całkowicie zadowolonych. Gadaliśmy o punktach, ile komu jeszcze brakuje. Jens chciałby mieć maksymalną liczbę, mnie i Markowi wystarczyłaby minimalna, z którą moglibyśmy zdawać, a Frank sterował w stronę dobrej średniej.

Spocilem się z powodu Tiny. Co ona tam robi tak długo? Nic nie przyszło jej do głowy? Dostała napadu złości? A może zasłabła, straciła przytomność?

Nareszcie się pojawiła. Rozczochrana i wyczerpana, jakby po walce na ringu.

- Jak było? - zapytałem.

- Daj mi spokój! - fuknęła.

Człapaliśmy obok siebie w milczeniu. Po chwili Tina powiedziała już spokojnie:

- Do „Sowy”!

Kiwnąłem głową i powlekliśmy się dalej. Dopiero po drugiej kawie odzyskała mowę.

- Jeszcze parę takich godzin i będę się nadawała do domu wariatów. Myślałam, że chwycił mnie jakiś skurcz. Możesz to sobie wyobrazić? Nie byłam w stanie poruszać wiecznym piórem.

Pogłaskałem ją po lekko drżącej dłoni.

– Już wkrótce dopniemy swego.

– Dopniemy swego! – powtórzyła, przedrzeźniając mnie. – Ale na razie jeszcze nie dopięliśmy. A potem? Co zrobisz potem?

– Szkoła aktorska...

– Ech! Przecież wiesz, jak trudno się dostać do szkoły aktorskiej. Myślisz, że będą czekać właśnie na mnie?

– No to nie. Może pójdziesz do jakiejś szkoły plastycznej.

– Zaraz rzygnę! Nie chcę oglądać żadnej szkoły od środka, jak tylko zamknę za sobą drzwi naszej budy.

– Nie musisz ich zamykać – powiedziałem. – One same się za tobą zatrzasną.

– Możesz sobie oszczędzić tych filozoficznych sofistematów! – rzuciła ostro.

– Wybacz, ale z tobą w ogóle nie można normalnie rozmawiać.

– To nie rozmawiaj! – krzyknęła. – Masz przecież tych mędrkujących zasranych przyjaciół, z którymi możesz całymi nocami dyskutować, czy powinniście uszczęśliwić świat waszymi niepowtarzalnymi teoriami, czy też raczej te porażające idee należy zachować dla siebie!

Nie odezwałem się ani słowem. A mogłem przecież powiedzieć, że w tej chwili wszyscy moi przyjaciele zajęci są bardziej sobą i maturą niż przyszłością lub zagładą świata. Mogłem powiedzieć, że to, co donoszą gazety i telewizja, przestało do mnie docierać. Mogłaby wybuchnąć trzecia wojna światowa, a ja ciągle liczyłbym swoje punkty. Mogłem powiedzieć, że w żadnej książce nie znajduję już oparcia, bo czytam wyłącznie szkolne podręczniki. Mogłem powiedzieć, że się boję. Że boję się egzaminu maturalnego i przyszłości. Że boję się, czy się do czegoś nadam. Do czegokolwiek. Czasami ratuję się ucieczką w jakieś rojenia na jawie,

gdyż uczucie strachu przed odmową nie jest dla mnie jasne. Nawet nigdy nie pojąłem, że tego nie pojmuję. Mówiłem sobie wprawdzie, że świadectwo maturalne nie jest najważniejsze, ale obecnie było przepustką do wolności.

– Nie mam ochoty na klótnie – powiedziałem chłodno, wstałem i przesiadłem się dwa stoliki dalej, do Jensa i Marka.

W Tinę jakby grom trafił. Po kilku minutach podniosła się i przeszła obok, zataczając się jak pijana. Najchętniej poleciałbym za nią, ale się powstrzymałem. Ze mną nie można tak postępować, powiedziałem sobie. Mam swoją dumę!

Gardło mi wyschło, więc zwilżyłem je kuflem piwa. To uspokoiło moje sumienie, przywróciło dumę. Wszystko w ogóle wyglądało już inaczej. Rozmawialiśmy o polityce światowej niczym starzy kumple, mający w piwiarni swój stały stół. Wypiłem jeszcze jedno piwo. Ziemia znów obracała się wokół własnej osi, a przez najbliższe pięćset milionów lat nic się przypuszczalnie nie zmieni. Więc po co się martwić? Gdzieś toczą się wojny, ludzie umierają lub są upokarzani – mnie jest wszystko jedno!

W domu czekał na mnie list od Katji. Na kopercie był stempel jakiejś Pipidówki, o której nigdy nie słyszałem. Najpierw pomyślałem, że znowu uciekła, ale list wszystko wyjaśnił. Katja poddaje się tam terapii. Napisała też o pewnej lekarce, która wywarła na niej duże wrażenie. Na końcu napisała w *postscriptum*: *Z powodu zakazu wszelkich kontaktów muszę ten list wrzucić do skrzynki pocztowej ukradkiem.*

W ogóle nic z tego nie rozumiałem, a przede wszystkim, po co mi o tym wszystkim pisze. Wprawdzie miałem w głowie gęstą mgłę, ale nawet na trzeźwo nie rozumiałbym, dlaczego Katja ma potrzebę pisania właśnie do mnie. Dlaczego to robi, skoro nigdy jej nie

odpowiedziałem. W tej chwili nawet w najmniejszym stopniu nie interesowało mnie, jak jej się wiedzie. Mnie też źle idzie! Uznałem, że Katja ma kompletnego bzika i wrzuciłem list do kosza na papiery.

Rozebrałem się i poszedłem pod prysznic. A później wyłowilem list z kosza i schowałem do szuflady. Przeniosłem aparat telefoniczny do mego pokoju i zadzwoniłem do Tyny.

Kiedy usłyszałem jej cienie i żalosne „halo”, moje wnętrze zakręciło się jak w mikserze.

– To było chamskie z twojej strony – powiedziała.

– Wiem – szepnąłem – ale z tobą też nie było łatwo w ostatnim czasie.

Obiecaliśmy sobie na przyszłość poprawę i przysięgliśmy na dawne, piękne dni, że wszystko będzie znowu tak, jak było przedtem. Albo jeszcze piękniej. Ale nigdy tak jak dziś w „Sowie”.

Tina mogłaby paplać przez całą noc, ale mnie wypite piwo coraz bardziej uciskało pęcherz, a powieki same się zamykały. Próbowałem zakończyć rozmowę i pożegnać się możliwie łagodnie.

– Możemy pójść jutro do kina – powiedziałem. – Mam jeszcze tylko wiedzę o społeczeństwie, ale po prostu od kogoś spiszę.

– A mój francuski? – zapytała Tina.

– Ty zrobisz to jak najbardziej uczciwie. Dobranoc, mała czarownico!

– Śnij dziś o mnie!

Drugiego dnia pobytu w klinice poszłam rano z Hildą na gimnastykę poranną. Trwała tylko dziesięć minut, ale byłam potem tak wyczerpana, że musiałam położyć się na łóżku. Chciałam zasnąć, Hilda przekonała mnie jednak, że muszę być na śniadaniu. Obojętne, czy będę coś jadła, czy nie.

Zjadłam z trudem ćwierć bułki. Czulałam się potem niedobrze i tak zapchana, jak po obfitym posiłku.



Po śniadaniu Rosmarie posłała mnie do obierania ziemniaków. Usiadłam w kącie pokoju dla palaczy razem z trzema innymi osobami, które również pełniły „służbę ziemniaczaną”, jak to nazywały. W klinice pełniono służbę ziemniaczaną, służbę zmywania, sprzątnięcia, służbę ogrodową i jeszcze kilka innych, o których dowiedziałam się dopiero z czasem.

– Przez pierwszy tydzień będziesz przed południem obierała z nami ziemniaki, chyba że wypadnie ci posiedzenie grupy – wyjaśniła starsza pani, która przedstawiła się jako Irma, alkoholiczka.

Zabrałam się do obierania. Pozostała trójka żywo ze sobą rozmawiała, nie przerywając pracy. Irma była już trzy miesiące w klinice. Opowiadała historyjki o swoich pijackich ciągach, śmiejąc się przy tym, jakby chodziło o niewinne młodzieżowe kawały. Miała sześćdziesiąt osiem lat i była to już jej piąta kuracja.

Scanned

by

ZOE  

– I pewnie jeszcze nie ostatnia – powiedziała, wrzucając z chlupotem obrany ziemniak do wiadra z wodą.

Kalle, dwudziestosiedmioletni piroman, z zawodu pielęgniarz szpitalny, opowiadał, jak w czasie wolnym od pracy podpalał stodoły.

– To jest drogie *hobby* – zakończył opowieść, na co Irma i Detlef wybuchnęli śmiechem.

Detlef jako jedyny nie mówił otwarcie o swoim problemie i powodach pobytu w klinice. Ja wprawdzie też nic nie mówiłam, ale wydawało się, że tamci wiedzą o mojej chorobie.

– Miałam w sąsiedztwie taką, co nie mogła jeść. Było z nią pod koniec cholernie źle. Spuchnięte nogi, zaburzenia w krążeniu... Wzięli ją w końcu do szpitala i odżywiali przymusowo przez rurkę... Co było z nią dalej, nie wiem, bo sama tutaj wylądowałam.

– Postaraj się szybko przytyć parę funtów, inaczej będziemy musieli szukać cię przez lupę – powiedział Kalle i uśmiechnął się ciepło.

– Mania chudnięcia jest też tylko manią, jak każda inna – powiedział Detlef, nie patrząc na mnie.

Detlef w ogóle nikomu nie patrzył w oczy, wzrok miał przeważnie skierowany ku ziemi. Ziemniaki często wyslizgiwały się z jego krótkich, tłustych palców. Zrobiło mi się niedobrze, kiedy zwróciłam uwagę na ich niespokojne ruchy.

Kalle puścił do mnie oko i prowokacyjnie zapytał Detlefa:

– A ciebie co tutaj sprowadziło?

Detlef uśmiechnął się głupkowato i z pewnym zakłopotaniem.

– Nie warto o tym gadać – powiedział lekceważąco. – Babska histeria... Przeczytałaś regulamin domu? – zwrócił się do mnie. – Żadnych męskich odwiedzin w pokoju! Pamiętaj o tym!

Roześmiał się jakoś tak wewnętrznie, aż spasiony brzuch zatrzęsł się niczym olbrzymi budyń.

Kalle zaczął teraz recytować kolejne paragrafy regulaminu, opatrując je własnymi komentarzami, czynił to zaś namaszczonym tonem kaznodziei ogłaszającego dekalog.

Nie pal w swoim pokoju!

Nie zapalaj także świec!

Nie ukrywaj w swoim pokoju żadnych napojów alkoholowych ani żadnego toniku do twarzy, wody po goleniu czy perfum. Również woda do płukania ust jest dla ciebie narzędziem szatana.

Nie przechowuj w swoim pokoju żadnej żywności.

Nie słuchaj radia po godzinie dwudziestej drugiej, gdyż wszystko, co po tej godzinie nadają, jest złe i tylko wodzi cię na pokuszenie.

Jeśli przywiozłeś tu własny telewizor, precz z nim! Telewizja prowadzi do krótkowzroczności.

Oddaj także swoje lekarstwa. U lekarzy będą w lepszych rękach. Może sami tych lekarstw potrzebują.

– I żadnych odwiedzających mężczyzn... – podsunął Detlef.

– To już było, stary – odparł Kalle. – Twoja krótkodystansowa pamięć źle funkcjonuje.

Kiedy sześć wiader obranych ziemniaków stanęło w rzędzie, Irma uznała, że to chyba wystarczy na dzisiejszy obiad. Uprzątnęliśmy nasze miejsce pracy i zanieśliśmy ziemniaki do kuchni.

– Pójdiesz ze mną na spacer? – zapytał Kalle.

– Raczej pójdę do swego pokoju.

– W porządku! – powiedział.

Położyłam się na łóżku i przyjrzałam się moim nogom. Czy nie są trochę nabrzmiałe? A może mi się tylko tak zdaje, ponieważ Irma mówiła o tym?

Po chwili do pokoju wpadła Hilda.

– Od jutra dołączasz do naszej grupy – obwieściła.

– Skąd o tym wiesz? – zapytałam.

– Bert powiedział nam dzisiaj.

– Czy nie powinien być powiedzieć o tym mnie pierwszej?

– Pewnie to zrobi!

– A ten Bert... czy to ten typ, co wyjaśniał mi pierwszego dnia, jak się je bułkę?

– Pierwszego dnia! – krzyknęła Hilda. – Mówisz, jakbyś tu była od tygodni, a to było wczoraj!

Zaczęłam masować sobie nogi.

– Bóle? – zapytała Hilda. – Moja córka też to miała. Spuchły jej i były grube jak nogi słonia. To z niejedzenia. Na skutek zaburzeń w przemianie materii czy czegoś takiego. Prowadzi to do puchliny wodnej. Ale ona teraz żre już wszystko. To się zmienia, rozumiesz? Te dziewczyny najpierw w ogóle nie żrą, a potem zatykają się dziesięcioma bułkami naraz. I znów wszystko wyrzucają. To taka choroba!

– A dlaczego ty tu trafiłaś? – zapytałam.

– Ach, tylko z powodu środków od bólu głowy... Jadłam je, jakby to były cukierki.

Poszliśmy na obiad do sali jadalnej. Prawie wszyscy stali już wokół stołów, czekając na dźwięk gongu. Potem usiedli i łapczywie, jak ludzie bardzo wygłodniali, napełniali swoje talerze zawartością misek stojących na stołach.

Podano pieczeń cygańską z marchewką i skorzonką, do tego ziemniaki i gęsty, brunatny sos. Na deser był kompot z gruszek z kapką żurawiny.

Postanowiłam, że wszystko, co mi dadzą do jedzenia, wepchnę w siebie, ale kiedy zobaczyłam pełny talerz, skapitulowałam. Zaczepnęłam głęboko powietrza, żeby opanować wzbierające mdłości i posłałam w stronę stołu terapeutów spojrzenie błagające o pomoc.

Kristine wstała i podeszła do naszego stołu.

– Smacznego! – powiedziała ogólnie, a mnie poradziła: – Zostaw mięso i sos. Jedz tylko ziemniaki i jarzyny. Rozgnieć je widelcem, a do jedzenia używaj tylko

łyżeczki do deseru. Żeby twój skurczony żołądek zaczął tolerować jedzenie, musi dostawać małe porcje.

– Terapia indywidualna! – zauważyła złośliwie Ulrike, kiedy Kristine wróciła na swoje miejsce.

Po obiedzie zapowiedziano spotkanie informacyjne dla „nowych”. Choć poza mną przyjęto tylko dwie lub trzy osoby, w pomieszczeniu siedziało około dwudziestu pacjentów. Wśród nich była Irma. Zapytałam, czy to możliwe, że po trzech miesiącach pobytu nie zna jeszcze regulaminu.

– Owszem – roześmiała się – ale gdyby nie to zebranie, musiałabym wziąć udział w psychodramie, a tego nie lubię. Muszę wtedy odgrywać albo moją matkę, albo mojego nieżyjącego już męża, czasem także terapeutę. Wszystko nagrywane jest na wideo, a ja potem wytrzeszczam oczy, że tak głupio się zachowałam. Nie, dziękuję! Odgrywanie ról to nie dla mnie. Nie radzę sobie z odegraniem mojej własnej roli, choć ćwiczę ją od sześćdziesięciu ośmiu lat!

Uśmiechnęłam się, a Irma kuksnęła mnie po przyjacielsku łokciem w bok.

Po południu przeprowadzono lekcję gimnastyki rozluźniającej z ćwiczeniami oddechowymi. Potem była godzina wolnego. Chciałam pójść na spacer. Kiedy jednak dowiedziałam się, że bez osoby towarzyszącej wolno spacerować tylko wokół domu, zrezygnowałam. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać, a tutaj wszyscy gadali dużo i chętnie.

Wyjmując z szafy w łazience słoik z kremem, zobaczyłam nagle swoje odbicie w lustrze. Trójdrzwiowa szafa miała we wszystkich trzech segmentach wprawione lustro i kiedy lekko uchyliłam to z lewej strony, zobaczyłam swoje podwójne odbicie. Otworzyłam także drzwi z prawej i zobaczyłam jeszcze więcej odbić mojej zdumionej twarzy z profilu. Odbicia były coraz mniejsze, wydawało się, że powtarzać się mogą w nieskończoność. Poruszyłam ponownie drzwiami z lewej stro-

ny, co wyglądało tak, jakby jedno lustrzane odbicie schowało się za kant drzwi i przyglądało wszystkim pozostałym.

Na kolację udało mi się zjeść pół kromki białego chleba z masłem.

– Nam szło na początku gorzej – zauważyła Ulrike. – Wygląda na to, że nie jesteś szczególnie ciężkim przypadkiem. Bardzo chuda też nie jesteś. Ja byłam znacznie chudsza, kiedy tu przyszedłam.

Zabrzmiało to jak dyskwalifikacja. Tak jakby i tu dostawało się punkty. Im cięższy przypadek, tym więcej punktów.

Przy stole anorektyczek nie czułam się dobrze. Każdy kęs był liczony przez sąsiadki przy stole, a spojrzenia od stołu terapeutów śledziły każdy ruch przeżuwania.

Sądziłam, że wieczór będę miała wolny, kiedy jednak włożyłam płaszcz, żeby choć parę razy okrążyć dom, Hilda powiedziała:

– Dokąd idziesz? Mamy przecież wieczór rodzinny.

Zdjęłam płaszcz i powiesiłam w szafie.

W „wieczorze rodzinnym” udział wzięli wszyscy pacjenci – czterdzieści osób, poza tym czwórka terapeutów, dwóch lekarzy i Rosmarie. Najpierw omówiono wykroczenia przeciwko regulaminowi, do których doszło w ciągu ostatniego tygodnia. Odczytano listę pacjentów winnych zaniedbań, przedyskutowano przed całym gremium wewnątrzpokoje spory.

Te rozmowy przypomniały mi wspólnotę mieszkaniową, w której żył Jan, zanim po długiej dyskusji współmieszkańcy nie wyrzucili go. Jan przeszkadzał wspólnocie.

Jana poznałam na dyskotecce. Najpierw tańczyliśmy ze sobą, a potem chciał pożyczyć ode mnie trochę pieniędzy. Coś mu tam dałam, a on natychmiast się ulotnił. Wiedziałam, na co ich potrzebował. Po jakimś cza-

się znowu się spotkałiśmy. Lubiłam Jana. Był bardzo chudy i to mi się podobało. Wyglądał tak, jakby jego ciało istniało tylko po to, żeby utrzymać głowę na cienkim kręgosłupie. Prawie nic nie jadł i ja też przestałam jeść. Nigdy jednak nie brałam narkotyków. Na to byłam zbyt tchórzliwa. Nie chciałam tracić kontroli nad sobą. Ale głód także wprawiał mnie w lekki stan oszołomienia. Jan mówił, że to dziecinada w porównaniu z euforią, w którą wpada po daniu sobie w żyłę. Ja tego nie potrzebowałam. Mnie wystarczyła ta dziecinada i uczucie, że staję się coraz lżejsza.

Jan był studentem. Miał małe mieszkanko, które opłacali jego rodzice. Nic nie wiedzieli, że Jan jest uzależniony od heroiny. Kiedy Jan ich odwiedzał, matka przypominała mu zawsze, żeby więcej jadł i nie uczył się tak intensywnie, bo jest błydy i bardzo schudł. Na drogę dawała mu torbę pełną jedzenia, a ojciec wciskał mu w wychudłą dłoń banknot stumarkowy na nieprzewidziane wydatki.

Tymczasem Jan był już zbyt chory, żeby móc przed kimkolwiek coś udawać. Budynki uniwersyteckie omijał, zresztą w niewielu z nich bywał. Znał za to prawie wszystkie szpitale w mieście.

Oczami wyobraźni znów zobaczyłam przed sobą pochyloną sylwetkę Jana sunącego ulicą dygocącym ruchem wałki i gorączkowym spojrzeniem szukającego kogoś, kto gotów byłby pożyczyć mu pieniędzy. Albo zaczepiającego obcych ludzi: „Chciałbym pojechać do domu, ale nie mam pieniędzy na bilet”.

Irma dała mi kuksańca i wyrwała z zamyślenia.

– Chodzi o ciebie!

Terapeuta Bert stał na środku sali i przywoływał mnie ruchem ręki.

– Halo! Podejdź do mnie, proszę, żebym cię mógł przedstawić innym członkom rodziny!

Wstałam na drżących nogach. Bert przyjął mnie z szeroko rozpostartymi ramionami i powiedział:

– To jest Katja, nasza piąta zagłodzona. Obejrzyjcie ją dokładnie. Za kilka miesięcy nie będzie można jej poznać. Oczywiście, po dobrym wymaglowaniu przeze mnie i porządnym odkarmieniu.

Wszyscy się śmiali, a Bert obracał mną w kręgu zebranych, dopóki każdy nie obejrzał mnie ze wszystkich stron. Byłam sztywna jak drewniana kukła, czułam się upokorzona.

– Może chcesz coś powiedzieć swojej rodzinie? – zapytał Bert.

Milczałam, z trudem walcząc ze łzami.

– Z czasem nauczysz się mówić – powiedział i klepnął mnie w pośladek, na znak, że mogę wrócić na swoje miejsce.

Dotarłam tam, poruszając się jak robot.

– Nie bierz tego tak serio – szepnęła Irma i pogłaskała mnie po ręce. – Nasz Bert już taki jest, urodzony aktor i *showman*. Nic sobie z tego nie rób. Życie jest czasem okrutne. Ale jedzenie jest tu dobre. Jutro znowu obierzemy trochę ziemniaków.

Wieczór rodzinny zakończył się wspólnie odśpiewaną piosenką, po czym wszyscy tłumnie wyszli z sali, żeby posiedzieć razem w pokoju dla palaczy lub w jadalni. Poszłam do palarni, chcąc zapalić papierosa.

Na mój widok Kalle wstał, wziął swoje krzesło i zajął miejsce obok.

– W tym dymie tutaj można spokojnie zrezygnować z palenia – powiedział.

– Więc zrób to – odparłam oschle, bo chciałam mieć choć chwilę dla siebie.

Kalle umilkł speszony. Spojrzałam na niego i spróbowałam się uśmiechnąć.

– Przeszkadzam ci? – zapytał.

Wzięłam głęboki oddech, westchnęłam i potrząsnęłam głową. Irma dosiadła się do nas i biorąc papierosa do ust, rzuciła:

– Mężczyźni! Niech ich diabli wezmą!

– No, no! – zaprotestował Kalle.

Irma roześmiała się i klepnęła Kallego po ramieniu.

– Nie ciebie miałam na myśli, zapalczany bohaterze! Jesteś jeszcze cielakiem, który potrzebuje matczynego mleka.

– Ty pewnie też dostawałaś za mało mleka i dlatego ciągle jeszcze trzymasz się butelki...

– Licho wie, czego dostawałam za mało, a czego za dużo. Mój mąż pił przez trzydzieści lat. Ja – nie. Próbowałam dojść z nim do ładu miłością i nienawiścią, prośbą i groźbą, ale on pił dalej. Aż do ostatniej chwili, kiedy upadł i więcej się nie podniósł. Pochowałam go i myślałam, że teraz będę mieć spokój. Ale nic z tego. Niczego nie miałam. Tylko pustkę. Nie miałam żadnych obowiązków, o nikogo nie musiałam się lękać. Nie mogłam już żywić nadziei, że zdarzy się cud i on przestanie pić. Nie miałam już w uszach jego płaczu, żadna dygocąca ręka nie szukała już w nocy moich rąk. Nikt nie opowiadał mi o jakichś śmiałych projektach na przyszłość – o tym wszystkim, co by zrobił, gdyby tylko mógł. On był tylko zajączkim, który od czasu do czasu wyobrażał sobie, że jest lwem...

– Czemu, u diabła, zaczęłaś wtedy pić, kiedy wszystko to już przy nim przerobiłaś? – zapytał Kalle. – Powinnaś poczekać i tylko śnić o spotkaniu z nim w niebie!

– Nie umiem śnić. Zawsze śniłam tylko jego sny. A teraz odszedł i wszystko inne też odeszło. Po prostu zaczęłam pić. I dopiero teraz go pojmuję. Kiedy jakiś samarytanin wyciągnął mnie z rowu jak mokrą ścierekę i namawiał, żeby nie pić, byłam tak blisko Franza, jak nigdy za jego życia. Przywołuję go, krzycząc. Dziurawie ciemność krzykiem, ale on nie przychodzi, żeby dygotać ze mną, tak jak ja z nim dygotałam.

Irma położyła rękę na mojej zacisniętej pięści.

– Uwierz mi, wszystko inne nie jest aż tak złe. Złe

jest dopiero wtedy, kiedy nie ma się nikogo, o kogo można się troszczyć.

– Czy ty nie masz dzieci? – zapytałam.

Irma potrząsnęła głową.

Później, już w swoim pokoju, zastanawiałam się, co moja matka powiedziała na historię Irmy. Oczywiście, gdyby w ogóle jej wysłuchała. Jeszcze brzmiały mi w uszach jej wyjaśnienia: „To nie jest klinika psychiatryczna. Oni tam mają tylko lekkie przypadki”.

Krótko przed dziesiątą do pokoju przyszli Kristine i Bert. Wiedziałam już, że każdego wieczoru dwoje terapeutów chodzi po pokojach, żeby każdego pacjenta uścisnąć i życzyć mu dobrej nocy. Tacy rodzice zastępczy dla wyrośniętych dzieci.

Najpierw objęły Hildę, Bert ponadto otulił ją kołdrą. Potem zwrócili się do mnie. Siedziałam jeszcze na krześle.

– O czym myślisz? – zapytał Bert.

Spojrzałam na niego w milczeniu.

– Rzeczywiście, twardy z ciebie orzech – stwierdził.

– Drzewo z mnóstwem pięknych, twardych orzechów – sprostowała Kristine i objęła mnie.

Kiedy z kolei objął mnie Bert, byłam zupełnie sztywne.

– Twardy orzech – powtórzył, stojąc w drzwiach i uśmiechając się z rozbawieniem.

Szybko się rozebrałam, położyłam do łóżka i naciągnęłam kołdrę na uszy.

– Że też się nie udusisz – burknęła Hilda. – Kończę gadanie. Dobranoc!

Kiedy Hilda zaczęła spokojnie i miarowo oddychać, zapaliłam lampkę nocną. Wbiłam wzrok w ścianę. Przypomniał mi się pewien wieczór u Jana. Był wtedy w dobrym nastroju, mówił o przyszłości, o studiach, które wkrótce chciał na nowo podjąć. Słuchaliśmy radiowego koncertu jazzowego. Nie znam się na muzyce, ale Jan entuzjastycznie zwracał moją uwagę na

solo na trąbce. Poczułam się wyłączona, gdyż nie umiałam wczuć się w jego zachwyty. Leżeliśmy na podłodze i Jan oparł głowę na moim ramieniu. Pogłaskałam go po włosach, a potem przesunęłam ręce na jego piersi. Dotykałam palcami jego żeber, czułam, jak bije mu serce.

– Chciałabym kochać się z tobą – szepnęłam cicho.

– Nie mogę. Nie wiem, czy jestem zdrowy.

Pogłaskałam go i powiedziałam:

– To nie ma znaczenia. I kto w ogóle jest zdrowy!

W końcu Jan uległ nastrojowi chwili. Całowaliśmy się i pieścili. Leżeliśmy nago, przytuleni do siebie, gdy nagle Jan zapłakał. Potem wstał, ubrał się, okrył mnie kołdrą aż po szyję i powiedział:

– Nie zmarznij. Muszę iść. Potrzebuję kopa.

Nie mogłam zasnąć. Rozmyślałam o Irmie, krzykiem dziurawiającej otaczającą ją ciemność. Myślałam również o Janie.

Dlaczego mówi się, że życie to nie baśń. Życie jest okrutne, tak samo jak baśń. Pamiętam tylko te okrutne. W baśniach zawsze mówi się o miłości. I o śmierci. I że jeśli się kocha, to się nie umiera. Nie umiera się też, jeśli się jest kochanym. Ale to nie jest prawdą. Każdy umiera. Obojętne, w jaki sposób. Jedni chcą ciągle na nowo umierać – po to, żeby zmartwychwstać. To tak jak z uzależnionymi od narkotyków – krążą między światami niczym w długim śnie. Układają się w chmurach do spoczynku, a budzą się w ciemnym grobie. Wznoszą się z powrotem do chmur i znów wpadają w czeluść.

Ja nie potrzebuję narkotyków. Jeśli nie jem, czuję się lekka jak motyl. W greckich mitach dusza młodej dziewczyny unosi się na motyliach skrzydłach.

Wstałam, podeszłam do stołu i na kartce papieru narysowałam motyla. A potem napisałam:

Drogi Michaelu,

wydaje mi się, że nie jestem prawdziwą anorektyczką. Nie chodzi mi właściwie o to, żeby wyglądać szczupło, ale żeby przede wszystkim czuć się lekko. Nie jestem także typem schizofrenicznym. Nie mam własnego świata, w który wierzę. Czasem mam złe, dręczące sny. W danym momencie są moim światem. Ale jak długo trwa sen? Kiedy przebywam wśród innych ludzi, moim murem obronnym jest milczenie. No i co? Inni mają do obrony nóż – kto podejdzie do nich zbyt blisko, zostanie ugodzony. Jestem kukulczym jajem zniesionym w obcym gnieździe. Moi rodzice podejrzewają, że nie jestem ich potomkiem. A może? Kiedy byliśmy na wakacjach we Włoszech, matka chętnie przyglądała się roześmianym dzieciom o ciemnych oczach. „Jakie te dzieciaki są szczęśliwe” – mówiła z westchnieniem. Powinnam powiedzieć jej, że ja też byłam szczęśliwym dzieckiem, ale jestem inna. Nie śmiałam się i nie hałasowałam, gdyż żadne dziecko nie czyni tego, jeśli jest samotne. Ani jeśli matka jest zawsze zatroskana. Moja zatroskana matka. Mój sumienny, smutny ojciec. Oni zawsze chcieli robić wszystko tak, jak należy. Dokładnie tak, jak czynią to inni. W tej klinice są ludzie, którzy żyją inaczej niż ci za murami. Tutaj uczy się ich postępować tak, jak ci inni, którzy wzdychają, są nieszczęśliwi i żyją dalej. Jeśli już nie umarli.

Dobranoc!

Katja

Kiedy w końcu zasnęłam, znowu znalazłam się na łące z Michaelem. Bawiliśmy się i ganiali. Pobiegłam szybciej niż on, przystanąłam na skraju lasu i czekałam, ale Michael nie przyszedł. Potem odkryłam dom i pomyślałam, że pewnie tam się schował. Szczęśliwa dobiegłam do domu, pukałam w szyby okien, szarpałam drzwi, ale były na glucho zamknięte. Obeszłam naokoło, wołając Michaela. Usłyszałam kroki z drugiej

strony. Skręciłam za narożnik i nagle stanęłam na wprost jakiegoś mężczyzny. W jego okularach odbijały się promienie słońca. Nie mogłam go rozpoznać, nie widziałam jego oczu. Byłam śmiertelnie przerażona.

Obudziłam się mokra od potu. Przypomniał mi się Bert. Czy powinnam mu powiedzieć, że ciągle mi się śnią jakieś domy? Czy moje sny zainteresują Berta? Rainer pytał mnie kiedyś o moje sny, ale żadnego mu nie opowiedziałam.

Wstałam po cichu i wzięłam z szafy czystą koszulę nocną. Tę przepoconą rozłożyłam na krzesło. Leżałam na łóżku i czułam lzy napływające do oczu. Odwróciłam się i wcisnęłam twarz w poduszkę.

Zaraz po śniadaniu poszłam na pierwsze zebranie mojej grupy. Znałam już Irmę, Kallego, Detlefa, Ulrike i Hildę. I oczywiście Berta.

Za oknem pokoju, w którym siedzieliśmy, rósł czerwony buk. Wyglądał jak obraz ujęty w ramy. Za drzewem przesuwaly się niespokojnie chmury, jak gdyby szukając kryjówek. Przypomniało mi się popołudnie, kiedy Michael po raz ostatni był w moim pokoju. Wtedy chmury też żeglowały niespokojnie za oknem, a ja chciałam być blisko Michaela. Rozebraliśmy się. Okulary Michaela leżały na stole. W jednym szkiele odbijał się niebieski kwadrat – kawałek nieba zatrzymany w okiennej ramie.

– Chyba wołałabyś być tam, na zewnątrz? – zagadnęła mnie Bert.

Skinęłam głową.

– Ale po co ci wolność, jeśli nie wiesz, co z nią zrobić? Uniosłam lekko ramiona i z wolna je opuściłam.

– Jeśli to twoja jedyna odpowiedź, znalazłaś się w dobrym miejscu – powiedział Bert i zwrócił się do pozostałych.

Najpierw odczytano protokół z ostatniego zebrania. Odnotowano w nim dokładnie, co kto powiedział, kto

się rozplakał, a kto się roześmiał. Potem Bert zagadnął starego, przygnębionego mężczyznę:

– No, stary pijaczyno, jak ci idzie?

Mężczyzna rozcierał sobie dłonie i milczał.

– Butelka jest przecież czymś najlepszym – ciągnął Bert. – Nie stawia żadnych trudnych pytań. Daje zawsze właściwe odpowiedzi i pozostaje ci wierna, dopóki śmierć was nie rozłączy!

Mężczyzna uniósł lekko głowę, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem znów ją opuścił i nadal rozcierał sobie dłonie.

– A co leży na sercu naszej osice? – Bert zwrócił się do mnie więcej pięćdziesięcioletniej kobiety, która rzeczywiście drżała lekko na całym ciele.

– Tak się wstydzę – powiedziała kobieta.

– Dlaczego się wstydzisz?

Kobieta potrząsnęła głową, łzy napłynęły jej do oczu. Otworzyła usta i coś szepnęła.

– Powiedz to głośno! – rozkazał Bert. – Wstydzę się! Jestem świnia!

– Jestem świnia! – powtórzyła kobieta.

Nie mogłam jej zrozumieć. Dlaczego tak się zachowuje? Co zrobiła, że daje się tak poniżać, że sama tak się poniża?

Pomyślałam o mojej matce. Jak zachowałaby się, gdyby siedziała tu, w tym kręgu, na moim miejscu? Czy zrobiłaby wszystko, czego od niej zażądano? Czy ludzie tracą wolę, gdy są zdesperowani? Rezygnują z zachowania godności? Muszą się pozbyć dumy, jeśli szukają pomocy w takiej klinice? Narastała we mnie wściekłość.

– I nasza Ulrike! – powiedział Bert nieco łagodniejszym tonem. – Czy twoja waga ciągle niepowstrzymanie rośnie?

– Wczoraj przybyło mi dwadzieścia dekagramów – odpowiedziała Ulrike szybko i z pewnością siebie.

– Jednego dnia! – wykrzyknął Bert i ponownie zwró-

cił się do mnie: – Weź przykład z Ulrike, a za sto dni będziesz ważyć dwadzieścia kilogramów więcej. Oto twój cel!

Ulrike uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– A teraz nasz ognisty diabełek! Kalle, opowiedz nam o swoich bohaterskich wyczynach.

– Przecież już tyle razy o tym opowiadałem – bronił się Kalle.

– Zgadza się, ale nie wszyscy znają twoją historię. No, dalej! Opowiadanie ciągle od nowa własnej historii pomaga również samemu opowiadającemu – przekonywał Bert.

Kalle opowiedział więc cichym głosem, często się zacinając, jak go ciągnie do podpalania pustych stodół i jak pewnego dnia został na tym przyłapany. Dodał też, że będzie musiał pójść do więzienia, jeśli nie zakończy pomyślnie terapii.

– Nasz Kalle ma mnóstwo długów – uzupełnił opowieść Bert. – Nie należy przy tym do najbogatszych. Jest tylko pielęgniarzem w szpitalu i nie zarabia niestety tyle, żeby mógł pozwolić sobie na jeden fajerwerk po drugim. Bo tata Kallego nie spłaci jego długów. Jest tylko rolnikiem, a pierwsza stodoła, którą Kalle podpalił, należała właśnie do niego. Ojca Kallego wprawiło to we wściekłość. On zresztą często bywał wściekły. Dlatego Kalle też jest wściekły, ale musi się oduczyć wściekania na cały świat. A to jest trudne.

Kalle nic nie odpowiedział, widziałam jednak jego mocno zacisnięte szczęki i napięte mięśnie twarzy.

Bert obrzucił go spojrzeniem.

– Nosisz w sobie wielką złość. Tak długo, jak ona w tobie tkwi, będziesz podpalał. Bo do boksu jesteś zbyt tchórzliwy.

Jednym szarpnięciem Bert odwrócił swoje krzesło i znalazł się na wprost Detlefa.

– Oto zdobywca kobiet! Stary, sflaczały worek tłuszcz-

czu, a jednak nastaje na kobiety i chętnie im pokazuje, co mu staje.

Podniosłam się i ruszyłam w stronę drzwi. Nie mogłam się dłużej temu przysłuchiwać. Było mi niedobrze i wstrząsały mną dreszcze.

– Wracaj! – krzyknął Bert. – Nie jesteście w przedszkolu. Musiałaś przecież słyszeć o ekshibicjonistach, więc nie zachowuj się głupio!

Powróciłam na sztywnych nogach na swoje miejsce.

Bert kontynuował zebranie, nikogo nie pomijając. Każdy doczekał się swojej kolei. Ale ja już tego nie słuchałam. Nie szokowały mnie sprawy, o których była mowa, to sposób bycia Berta napępiał mnie lękiem. I ta bezbronność ludzi, którzy byli mu posłuszni i bezradnie szukali odpowiedzi na jego pytania.

W pewnej chwili jedna z kobiet wstała, a Bert powiedział:

– Tak, idź od jednego do drugiego i zapytaj wszystkich!

Kobieta podchodziła po kolei do każdego członka grupy i pytała:

– Lubisz mnie?

Zapytani podnosili się z krzesła, obejmowali kobietę i odpowiadali:

– Tak, lubię cię.

W końcu stanęła przede mną, zadając to samo pytanie, a ja nie byłam zdolna odpowiedzieć. Kobieta zaczęła szlochać. Patrzyłam na nią, ale nie byłam w stanie poruszyć wargami ani wstać, ani jej objąć. Była mi obca. Oni wszyscy byli mi obcy. Przecież nie umiałam objąć własnej matki, a teraz miałam powiedzieć całkiem mi obcej osobie, że ją lubię?

Kobieta stała przede mną dopóty, dopóki Bert nie powiedział:

– Nic sobie z tego nie rób, Esther! Katja jest zimna i nieczuła. Dlatego też musi umrzeć. Bo nikogo nie ko-

cha i nikt jej nie kocha. Będzie się głodziła, aż zniknie z tego świata.

Drogi Michaelu,

tutejszy terapeuta twierdzi, że jestem twarda. Tak przynajmniej powiedział. Powiedział, że nikogo nie kocham i nikt mnie nie kocha. Dlatego muszę umrzeć. To dziwne, ale wczoraj też się nad tym zastanawiałam: czy miłość i śmierć w jakiś sposób nie są od siebie zależne. Nie jestem jednak terapeutą ani psychologiem. Jedno wiem na pewno – nie lubię terapii grupowej. W każdym razie nie tego rodzaju, jaką prowadzi Bert. Takiej wstrętnej i prowokacyjnej. Czasem myślę, że to dla niego zwyczajna zabawa. Ale tylko on się przy tym bawi. Grzebie w ludziach tak długo, aż zaczynają płakać. Wtedy jest zadowolony. Pacjentów należy zmusić do uległości, poniżyć ich. Ale oni wszyscy są tacy mali i nieszczęśliwi. Myślę często o swoim dzieciństwie. Matka nigdy mnie nie wysłuchała. Pewnie także za mało mnie pytała. Zupełnie nie byłam przyzwyczajona do konieczności dawania odpowiedzi. Jakie pytania zadałby Bert moim rodzicom, gdyby musieli zasiąść w tym kręgu? Co by im zarzucił? Że dali mi za mało miłości? Ja chyba rzeczywiście mam do nich o to żal. Ale co jemu do tego? Wściekam się na myśl, że ktoś mógłby próbować upokorzyć moich rodziców. Wzięłabym ich w obronę! Nie pozwoliłabym, żeby ktoś zadawał im ból. Może to nie ich wina, że są tacy, jacy są, a ja jestem taka, jaka jestem. Wcale nie wiem, jaka jestem. Czy pamiętasz jeszcze, jak śmiałyśmy się jako dzieci? Tak po prostu. Ty śmiałeś się więcej. Byłeś weselszy. Dlatego czułam się tak dobrze, kiedy byliśmy razem. Ja brałam wszystko zbyt poważnie. Jako dziecko wymykałam się czasem wieczorem z mojego pokoju i siadałam na najwyższym stopniu schodów. Stamtąd można było zajrzeć do pokoju, pamiętasz? Kiedy moi ro-

dzice siedzieli na tapczanie, jedno obok drugiego, mocno objęci, wracałam do łóżka z uczuciem ulgi. Bo wyglądali na szczęśliwych. A ja sobie myślałam, że chcę szybko dorosnąć, bo dorośli mogą się obejmować i całować.

Katja

Michael

W dniu zebrań rodzicielskich w szkole jak zwykle długo wylegiwałem się w łóżku. Po śniadaniu i spacerze polnymi drogami poczułem się taki silny, że mógłbym wyrwać drzewa z korzeniami. Kiedy powiedziałem o tym matce, zaraz odesłała mnie do rąbania drewna.

Po południu chciałem kontynuować z Oliverem nasz trening i pobiegać, a wieczorem – pójść z Tiną do kina. Dzień zaplanowany był bardzo przyjemnie.

Szukając w szufladzie adresu pewnej poradni cywilnej służby zastępczej, natknąłem się na listy Katji. Westchnąłem. Chciałem wreszcie napisać parę słów do niej, bo odpowiedzieć na jej listy byłoby dość trudno. Raz jeszcze przeczytałem ten ostatni i zacząłem się zastanawiać, co to za klinika, w której Katja wylądowała. Czy dostaje tam jakieś leki? Co właściwie robi się z pacjentami w takich klinikach?

Nie miałem o tym pojęcia. W mojej rodzinie nie było przypadków wymagających pobytu w klinice psychiatrycznej. Było złamanie kości (Oliver), operacja wzrostka robaczkowego (ojciec) i ciężkie zapalenie płuc (matka). Ja sam znałem szpitale wyłącznie jako odwiedzający.

Także u rodziców Katji nigdy nie zauważyłem objawów jakichś psychicznych anomalii. Wydawali mi się nawet aż za normalni. Pani Bloch nie była może taka

na luzie jak moja matka, ale nie spędzała wszystkich wolnych chwil na zajęciach artystycznych. Ręce pani Bloch zajęte były tylko i wyłącznie pracami domowymi.

Przez cztery lata chodziłem razem z Katją do szkoły. Często, idąc, trzymaliśmy się za ręce. Właściwie przez dwa pierwsze lata, potem ktoś wyśmiał nasz zwyczaj i ja już więcej nie chciałem.

– Co mam teraz zrobić ze swoją ręką? – zapytała mnie wtedy Katja.

Odpowiedziałem, żeby wsadziła ją do kieszeni kurtki lub gdziekolwiek indziej, na co Katja zaczęła płakać.

– Napijesz się ze mną kawy? – zapytała matka, uchyłając drzwi. – A może oddajesz się marzeniom?

– Nie, ale właśnie byłem na małej wyprawie w przeszłość...

– W twoim wieku! Kiedy przyszłość nawet się nie zaczęła – roześmiała się matka.

– Przyszłość nikomu się nie zaczyna – odparłem. – Ona jest zawsze tylko tym, co mamy jeszcze przed sobą.

– Branie wszystkiego dosłownie wcale nie jest oznaką mądrości, mój arcydrobiazgowy synu!

Poszliśmy do kuchni. Jest to u nas pomieszczenie najczęściej używane. Tam zawsze spotyka się nasza rodzina, także nasi goście przesiadują zawsze w kuchni. Bawialnia służy u nas tylko jako salka telewizyjna.

– Katja napisała do mnie – powiedziałem.

– Wiem. Ja pierwsza przeglądam przychodzącą do nas pocztę.

– W tym domu absolutnie nie można mieć żadnych tajemnic!

– Z pewnością masz jeszcze wiele różnych tajemnic. Wszyscy je mamy. A może sądzisz, że wiesz wszystko, o czym ja myślę? Albo co myśli twój ojciec lub brat? Ja też nie wyobrażam sobie, że wiem o was wszystko. Może zresztą tak jest lepiej. Żadna myśl nie jest „wolna”, jeśli można ją odczytać komuś z czoła.

– A ja chętnie odczytałbym myśli niektórych ludzi.

– Na przykład?

– Na przykład myśli Katji. Pisze mi o sprawach, których nie rozumiem. I przez te listy muszę o niej myśleć.

– To pewnie jeden z powodów, dla których ludzie piszą listy. Chcą, żeby o nich pamiętano. To jest w jakiś sposób wzruszające, że ona do ciebie pisze. Widocznie ciągle jeszcze cię lubi...

– Nie wiem... – powiedziałem wymijająco.

Matka zapewne chętnie wysłuchałaby, co Katja do mnie napisała, ale nie zapytała o to.

– Pamiętasz? Kiedy chodziliście razem do szkoły, zawsze nazywałam was siostrzyczką i braciszkiem.

– Czasem było ciężko być jej braciszkiem lub przyjacielem. Mówiła tak nad wiek mądrze i poważnie, że inne dzieci ją wyśmiewały. Często wstydziłem się za nią.

– Tak, wiem – powiedziała matka w zamyśleniu. – Właśnie mi się przypomniało, jak Katja przyszła kiedyś z małym kotkiem. To był dzień rozpoczęcia roku szkolnego i Katja całą zawartość swej torby ze słodyczami: batony czekoladowe, cukierki, wyroby z lukrecji, wymieniła na tego kotka.

– Którego i tak nie pozwolono jej zatrzymać. Olivero-wo i mnie – też nie. My również chętnie byśmy go zatrzymali. Wtedy Katja przynajmniej u nas mogłaby go głaskać i karmić.

– Nie pamiętam, dlaczego byliśmy temu przeciwni – powiedziała matka.

– Przez czysty egoizm – odparłem. – Bo miałabyś z tym trochę roboty, jak sama powiedziałaś. Nie miałaś ochoty dbać stale o czystość kociego klozeczku.

– W każdym razie musiała kota oddać, a słodyczy i tak jej nie zwrócono. Słodycze mają krótszy żywot niż koty.

Telefon zakończył nasze wspomnienia o Katji.

Dzwoniła Tina, która się za mną stęskniła.

- Nie wiem, czy dzisiaj wrócę! - krzyknąłem do matki i wskoczyłem na rower.

- Gdyby nie ty, chyba bym się powiesiła - powiedziała Tina, szczypiąc mnie z całej siły w ramię, kiedy zjawilem się u niej spocony.

- Auu! - wrzasnąłem. - Czy nie umiesz okazać czułości inaczej, niż szczypiąc, boksując i gryząc?

- Jasne, że umiem, ale nie w tej chwili. Jestem okropnie zdenerwowana. Ja już tego nie wytrzymuję! Ta cholerna klasówka z francuskiego przygniała mnie jak kamień. A moi rodzice akurat też nie są mi pomocni. Tak się denerwują, jakby chodziło o życie lub śmierć.

- Jak zwykle przesadasz!

- Nie wszyscy potrafią gadać tak spokojnie i z takim umiarem jak ty. To zresztą jest aż nudne!

- Nie daj się zwariować - powiedziałem. - Poradzisz sobie! Jeśli nie teraz, to następnym razem.

- Wypluj zaraz te słowa i odpukaj w niemalowane drewno! Jak pomyślę o jeszcze jednym roku w szkole, od razu mnie mdli! Ci wszyscy nauczyciele, mili kole-dzy szkolni, woźny, budynek, podwórze - najchętniej wysadziłabym to wszystko w powietrze!

- A gdybyśmy tak wyszli na świeże powietrze, zanim zaczniesz majstrować bombę?

- Dobra! Chodźmy do kina!

Zdecydowaliśmy się na seans o piątej; bilety na popołudnia są tańsze. Byłem zadowolony, że nie idziemy do jakiegoś lokalu, gdzie wieczna gadanina na temat szkoły miałaby swój ciąg dalszy. Najwidoczniej nie mieliśmy obecnie żadnych innych tematów do rozmów.

- Jest mi wszystko jedno, na co pójdziemy - powiedziała Tina. - Najważniejsze, żeby nie było żadnych aktów przemocy. Nie mogę patrzeć na brutalne sceny i muszę wtedy wetknąć głowę pod twoje ramię. Nie chcę jednak płacić za obwąchiwanie spoconej pachy.

Film nosił tytuł *Krajobraz we mgle* i opowiadał o dwojgu dzieciach - dziewczynce i jej młodszym bracie - które wędrowały z Grecji do Niemiec, szukając zaginionego ojca. Młodziutka aktorka wydała mi się podobna do Katji. Przypominała ją nie tyle zewnętrznie, ile zachowaniem i małowównością.

Film się nam podobał, lecz mówiliśmy o nim niewiele. To była smutna, poetycka opowieść z gatunku tych, o których nie można potem godzinami paplać.

Kiedy wracaliśmy z kina, podszedł do nas, zataczając się, jakiś młody człowiek.

- Macie dla mnie parę groszy? - zapytał.

Pogrzebałem w kieszeniach i dałem mu, co znalazłem.

- Też coś mam - powiedziała Tina.

Mężczyzna popatrzył na monety w swojej dłoni i powiedział:

- Jesteście cholernie przyzwoici!

Poszliśmy dalej, a Tina zaczęła się zastanawiać:

- Czy to było aż tak przyzwoite? Może powinniśmy złapać go w objęcia i...

- I co dalej? Zataszczyłabyś go do waszego domu?

- To właśnie byłoby przyzwoicie - odparła.

- Czy mogę u ciebie zanocować?

- Jasne! Jesteś u nas zawsze mile widziany.

W nocy, kiedy leżeliśmy obok siebie, Tina zapytała:

- Myślisz, że tak będzie zawsze? Ty i ja? Że zawsze będziemy się tak kochać?

- Nie wiem. Ale „zawsze” jest niemożliwe, bo w końcu kiedyś umrzemy.

Chwilę milczeliśmy, a potem nagle mi się wyrwało:

- Ja byłem już raz żonaty.

Tina usiadła na łóżku i wybuchnęła śmiechem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że leżę w łóżku z żoną-tym mężczyzną?

- Miałem wtedy osiem lub dziewięć lat. To było dawno.

- Więc podlega przedawnieniu.

- To był cichy ślub. Nie było ani gości, ani księdza, ani żadnego urzędnika stanu cywilnego. Tylko para narzeczonych. Ja i Katja. Katja powiedziała, że to wystarczy, jeśli obecnych jest dwoje. Ślub wyglądał tak: musieliśmy stać prosto, trzymając się za ręce i patrząc sobie głęboko w oczy, bez poruszania powiekami. Dla mnie to było dość męczące, ale Katja potrafiła wytrzymać tak długo. Zapytałem ją, ile czasu mamy tak stać, a ona na to, czy powiedziałem już „tak”. Skinąłem głową i na tym ceremonia się skończyła.

- I powiedziałeś „tak”? - zapytała Tina.

- Tego już nie pamiętam.

Tina zasnęła, a ja leżałem jeszcze długo, rozmyślając o filmie, na którym byliśmy. Kiedy w końcu zasnąłem, przyśnił mi się ten film i Katja. Brzegiem morza biegła po piasku młoda dziewczyna. Wynurzyłem się z wody, miałem na sobie mundur. Pobiegłem za dziewczyną. Ona zatrzymała się, odwróciła do mnie i spojrzała poważnie. „Katja” - zawołałem, objąłem ją i zaczęliśmy tańczyć.

Nagle się obudziłem. Byłem zaskoczony, że Katji z mojego snu nie przybyło lat, podczas gdy ja pełniłem już służbę wojskową.

Kiedy byłem u Katji po raz ostatni, miałem chyba piętnaście lat. Ona ciągle jeszcze pisywała do mnie listy z rysunkiem motyla, na które nie odpowiadałem. Przez cztery lata nie widywaliśmy się, nie licząc przypadkowych spotkań na szkolnym podwórzu. Któregoś dnia Katja zapytała mnie, czy nie chciałbym odwiedzić jej kiedyś.

Wpadłem kilka razy. Pokazywała mi obrazy, które namalowała, rozmawialiśmy o książkach, które ostatnio przeczytałem. Byliśmy zakłopotani, kiedy nasze ręce zetknęły się przypadkowo. Nie mogliśmy także patrzeć sobie długo w oczy.

Kiedyś, w czasach naszych pierwszych lat szkolnych, Katja powiedziała:

- Jeśli patrzy się komuś głęboko w oczy, widzi się dwa małe jeziora. A jeśli w czyichś oczach błysnie czasem coś srebrnego, nie trzeba się bać. To tylko małe rybki, które w nich pływają.

Mieliśmy już po piętnaście lat i nie mieliśmy odwagi patrzeć sobie w oczy. Któregoś popołudnia Katja powiedziała:

- Chodź, zdejmijemy ubranie i położymy się na łóżku obok siebie. Musimy nauczyć się czuć siebie nawzajem.

Uznałem ten pomysł za dziwaczny i uśmiechnąłem się zakłopotany, nie dając odpowiedzi. Ale Katja zaczęła się po prostu rozbierać. Bałem się, ale też zrzuciłem ubranie. Nie patrzyliśmy na siebie, tylko szybko wsunęliśmy się pod narzutę. Leżeliśmy oboje na plecach i patrzyliśmy w przestrzeń. Czulem ciepłą skórę jej ramienia, biodra i uda i ledwie mogłem oddychać.

Potem usłyszeliśmy kroki na schodach. Drzwi otworzyły się i pani Bloch zajrzała do pokoju.

- Co wy robicie? - zapytała przerażona.

Naciągnęliśmy narzutę na głowy, ale pani Bloch nadal stała w progu, niezdolna do wymówienia słowa.

Wstałem i szybko się ubrałem. Potem wybiegłem z domu.

Nigdy nie dowiedziałem się, co pani Bloch powiedziała Katji. Jeśli w ogóle coś do niej powiedziała. Katja przestała do mnie pisać, a na szkolnym podwórzu schodziliśmy sobie z drogi.

Scanned

by

20E © :>

Katja

Zachowuję się jak inni. Wykonuję cały program dnia, zaczynając od porannych ćwiczeń fizycznych, kończąc na cowieczornych odwiedzinach z życzeniem sobie dobrej nocy i uściskiem. Obieram ziemniaki, pracuję w ogrodzie i biorę udział w zebraniach grupy. Co prawda nigdy nie zabieram głosu z własnej inicjatywy, a na pytania odpowiadam dwoma, trzema słowami, ale Bert zostawia mnie w spokoju, odkąd się przekonał, że podczas posiłków dokładam starań, żeby jeść.

Najbardziej boję się grupowych sesji terapeutycznych. Wyłączam się wtedy, patrząc w okno lub marząc. Obrazy wspomnień mieszają się z fantazjami. Trzymamy się z Michaelem za ręce, idziemy po piasku. Czasem jesteśmy jeszcze dziećmi, czasem już dorosłymi. Jest lato i świeci słońce, wokół fruwać ptaki. Albo taki obraz: jestem z moimi rodzicami w kuchni. Oni siedzą obok siebie, mocno się obejmując, a ja maluję. Od czasu do czasu spoglądam na nich i uśmiecham się, a oni odpowiadają życzliwym skinieniem.

W czasie wolnym unikam kontaktów z grupą. Przeważnie idę wtedy do pracowni, gdyż bywa tam niewielu pacjentów, a ci, którzy się pojawiają, nie wadzą mi, bo oni także nie chcą gadać, tylko malować, majsterkować, pracować w glinie.

Po dwóch tygodniach przyszła moja kolej pełnienia dyżuru. O tych dyżurach dużo już słyszałam. Polega to

na czuwaniu przy pacjencie, który jest na odwyku – od lekarstw, alkoholu lub narkotyków.

Dyżur pełnią zawsze dwie osoby. Poprosiłam Kallego, żeby wziął dyżur i posiedział ze mną przy „nowym”, który był w klinice dopiero trzeci dzień.

Kiedy weszliśmy z Kallem do pokoju, Nowy spał.

– Dostał właśnie zastrzyk uspokajający – poinformował nas jeden z dwojga dyżurnych, których mieliśmy zastąpić.

Kiedy wyszli, usiedliśmy na krzesłach. Młody człowiek był trupio blady. Jego ręce leżały na piersiach jakby się modlił, włosy miał jasne i rzadkie, pod nosem i na brodzie trochę skąpej szczeciny.

Kalle wiedział co nieco o „przypadku”.

– Jest uzależniony od dziesięciu lat. Próbował już wszystkiego. Łykał, wstrzykiwał sobie i pił wszystko, co wymyślono, żeby zapalić lub ugasić swoją świadomość.

– Jak on się nazywa? – szepnęłam wstrząśnięta.

– Nie musisz szeptać. Do niego nic nie dociera z tego świata. Ani teraz, ani, być może, już nigdy. Ma na imię Max.

Patrzyłam na niego, a myślałam o Janie. Max nie dawał żadnych oznak życia; wydawało się, że nie oddycha.

– Mam takie wrażenie, jakbym czuwała przy zmarłym – powiedziałam.

– Nie sądzę, żeby spokój tych zwłok był czymś trwałym – wyszczerzył zęby Kalle.

Spojrzałam na niego z wyrzutem i nie odezwałam się więcej.

Po pewnym czasie Max się poruszył, a raczej się wzdrygnął.

– Problem polega na tym – powiedział Kalle – że lekarze nie wiedzą, jakie lekarstwo można mu zaaplikować. Brał już wszystko, więc leki nie działają... Chyba niedługo się obudzi.

– Czy on nie powinien trafić do prawdziwego szpitala? – zapytałam.

– Tam też dysponują tylko lekarstwami, natomiast z pewnością nie mogliby mu zapewnić dwuosobowego dyżuru. Nie mają tyle personelu – powiedział Kalle. – On i tak ma szczęście. Większość narkomanów nie żyje tak długo.

– Jak to: szczęście? Przecież są także tacy, którzy w pewnym momencie przestają brać! Niektórych można uratować!

Kalle wzruszył ramionami.

Nagle Max się poderwał i usiadł na łóżku. Nie patrząc na nas, zaczął dwoma palcami, kciukiem i wskazującym, zbierać z kołdry coś niewidzialnego i ostrożnie wprowadzać to coś do ust. Potem sięgnął pod poduszkę, wyciągnął rękę i długo ją oglądał. Przechylił głowę do tyłu, skierował pustą dłoń do szeroko otwartych ust, przeżuując w skupieniu.

Jego głowa chwiała się bezwładnie między obojczykami. Prawą ręką zakładał sobie na ramieniu nieistniejącą opaskę, silnie ją naciągając. Ale widać wydała mu się zbyt luźno założona, bo zaczął ją zakładać od nowa, z zaciśniętymi ustami naciągając ze wszystkich sił. Potem palcami wyszukał na ramieniu żyłę, zrobił ruch przykładania strzykawki, naciśnięcia tłoka. Wreszcie opadł wyczerpany na łóżko, westchnąwszy z ulgą.

Po chwili otworzył oczy, spojrzał na mnie i zapytał:

– Kto ty jesteś?

– Katja!

– Trochę spałem – opowiedział Max normalnym, spokojnym tonem.

Przytaknęłam.

– Który to już dzień? – spytał.

– Jesteś tu od trzech dni – odparł Kalle.

– To wkrótce powinno być lepiej, no nie? – powiedział i nagle zasnął.

Spał tylko kilka minut. Potem znowu usiadł na łóżku, wsunął rękę pod poduszkę i uczynił ruch, jak gdyby wyciągnął stamtąd pudełko, otworzył je dygocącymi palcami, przechylił, znowu uniósł dłoń do ust i wylizał jej wnętrze. A potem znów zaczął przygotowania do kolejnego zastrzyku. Pocił się przy tym i jęczał, nie mogąc znaleźć odpowiedniego miejsca do nakłucia. Kiedy wreszcie mu się udało, położył się z powrotem, całkowicie wyczerpany.

Patrzyliśmy na tę okrutną pantomimę przerażeni, ale jednocześnie zafascynowani.

Max otworzył oczy i powiedział głośno:

– Jak nie można już znaleźć żyły, trzeba rozrywać. Cholerne żyły! Po prostu zamykają przed tobą twoje własne ciało! Macie tu przynajmniej wódkę?

Kalle wstał, nalał wody do szklanki, uniósł lekko głowę Maxa i przytknął szklankę do jego ust. Max pił chciwie.

– Bimber! – powiedział. – Natychmiast poznałem. Lepszy niż czysty spirytus. Taka wódeczka ożywia. Ale gdzie zniknął ten stary gaduła? To ci włóczyki! Przecież chyba nie wykitował?

Kalle usiłował unieruchomić wyrwijącego się Maxa, który zdążył już zsunąć nogi na podłogę.

– Muszę go poszukać! Wczoraj jeszcze tu był, leżał obok mnie. Gówniana instytucja! Trzeba uważać, żeby nie wrzucili do grobu kogoś, kto jeszcze przebiera nogami. Oni po prostu cię wynoszą. Nie chcą trzymać takiego półtrupca, bo to szkodzi reputacji.

Max trząsał się cały, próbując ustać na nogach. Wyglądał jak szkielet, na którym powieszono pizamę.

– Połóż się – perswadował Kalle.

– Jestem umówiony – odparł Max.

Szukając butów, schylił się pod łóżko i upadł. Podnieśliśmy go i położyliśmy. Maxem wstrząsały dreszcze. Okryłam go kołdrą aż pod brodę, odgarnęłam

z czoła kosmyki rzadkich włosów i pogłaskałam po policzku.

– Spróbuj zasnąć – powiedział Kalle.

– Ty dupku! A ja niby nie próbuję zasnąć?! Ja chcę snu, ale to sen mnie nie chce.

Po chwili Max ponownie zapadł w drzemkę.

– Czy wiesz, co chciałbym zrobić po wyjściu stąd? – zapytał Kalle, zwijając dłonie w pięść.

– Chciałbyś podpalić jakąś stodołę – powiedziałam, a Kalle kiwnął głową.

A ja? Co ja chciałabym robić, kiedy mnie stąd zwolnią? Nigdy i w żaden sposób nie próbowałam uzbroić się przeciw czemuś. Co najwyżej usiłowałam się wykraść, po prostu zniknąć, ponieważ życie mi się nie podobało. A przecież tak naprawdę nic o życiu właściwie nie wiedziałam. Może bałam się tego, że tak mało o nim wiem?

Nastąpiła kolejna zmiana dyżurujących i poszliśmy z Kallem na spacer. Nie byliśmy w nastroju do rozmów. Patrząc na ziemię pod naszymi stopami, słuchaliśmy chrzęszczącego piasku. Próbowałam wyobrazić sobie, co dokładnie znajduje się po drugiej stronie kuli ziemskiej. Nowa Zelandia? Nie wiedziałam. Chciałam też spytać Kallego, dlaczego podpala stodoły, ale dałam temu spokój.

W ciągu tego wieczoru parę razy zajrzałam do Maxa – albo spał, albo miał halucynacje. Jąkał się przy tym i bełkotał tak niewyraźnie, że nie sposób go było zrozumieć.

Leżąc już w łóżku, przewracałam się niespokojnie z boku na bok. Próbowałam wyobrazić sobie spotkanie z Janem, ale żadne słowa nie przychodziły mi do głowy. Nic, co mogłabym mu powiedzieć. Albo on mnie. Nigdy nie rozmawialiśmy wiele. Właściwie od zawsze rozmawiałam tylko z Michaelem. Nawet wtedy, kiedy schodziliśmy sobie z drogi, nie zamieniając ze sobą ani

słowa. Chciałam pomyśleć teraz o przyszłości, ale nie umiałam przywołać jakiegoś wyrazistego obrazu. Tylko jaszczurki wygrzewające się na murze. I motyle w słońcu. Skały i morskie fale. Fale załamujące się na skałach. Fale, które się całują.

Przyśniła mi się przeprowadzka. Matka, ojciec i ja. Ojciec nosił torby i walizki do wielkiego wozu i śmiał się zadowolony. Matka po raz ostatni przeszła przez dom. Mebli już w nim nie było. Siedziałam na schodach na dole i czekałam, aż rodzice mnie zawołają. Nagle usłyszałam zapuszczenie silnika samochodowego. Podbiegłam do bramy i zobaczyłam, że wóz z meblami odjeżdża. Oparłam się o słupek. Nagle spod jodeł wypełznął Michael, lecz kiedy się podniósł, zobaczyłam, że to nie on, tylko jakiś obcy mężczyzna. Mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Rzuciłam się pędem przez bramę, wzdłuż ulicy. Obejrzałam się, ale nikt za mną nie biegł. Uświadomiłam sobie, że wszystkie moje rzeczy są w samochodzie rodziców, a ja nie mam nawet płaszcza.

Obudziłam się, kiedy Hilda wstała, żeby nalać sobie w łazience szklankę wody.

– Śpisz? – zapytała.

Nie odpowiedziałam. W moich snach też nikt nie odpowiada.

Drogi Michaelu,

w jednym z tutejszych pokoi leży pewien młody człowiek. Jest tylko połową mężczyzny. W innym pokoju leży kobieta. Jest tylko połową kobiety. Czy razem wzięci tworzą całego człowieka? Ale ten mężczyzna nie szuka kobiety, lecz dobrego snu. A ta kobieta, która jest właściwie dziewczyną, nie szuka mężczyzny, lecz dziecka, którym kiedyś była. Tak więc leżą w swoich łóżkach i przewracają się niespokojnie z boku na bok. Dygocącymi dłońmi obejmują pustkę, napętniają dłonie niczym, mocno trzymają się niczego i lecą przez powietrze w stanie nieważkości i bez celu, jak gdyby jakiś

statek kosmiczny porzucił ich we wszechświecie. Nigdy nie poznają Księżycy z jego wystygłą powierzchnią i niosącym ukojenie dalekim światłem. Będą tylko wyrywać się ze swoich rozgrzanych łóżek i krążyć wiecznie wokół Ziemi, nigdy nie lądując.

Katja

Siedziałam z Irma, kiedy Rosmarie przysłała, żeby zaprowadzić mnie do pokoju Berta na rozmowę indywidualną.

– Teraz będziesz musiała wysłuchać, że wszyscy cierpiący na jądłowstręt są tacy sami. Zostali mianowicie upieczeni w tej samej formie i według jedynej receptury. To tylko głupie ciastka wyobrażają sobie, że są różne! – powiedziała Irma, śmiejąc się, a potem dodała po cichu i poważnie: – Nie daj sobie wmówić zbyt wielu bzdur. Dziś każdy już wie, że nie ma na świecie dwóch takich samych odcisków palca. Nie wierz, jak ci będą wpierać, że ludzkie dusze niczym się nie różnią. Poznałam już wiele ludzi, a każdy miał coś, co odróżniało go od innych. Nie wiem tylko, czy to od tej małej różnicy zależy, że jedni odnoszą sukces, a drudzy ponoszą klęskę, ale ona istnieje.

– Dlaczego jesteś tu z nami i bierzesz w tym wszystkim udział? – zapytałam, uśmiechając się z sympatią, bo lubiłam Irmę.

– Bo tu dobrze gotują. I dlatego, że jest tu ciepło.

Usiadłam na krześle naprzeciw Berta.

– Siedzisz tak, jakbyś chciała zaraz stąd pójść – powiedział. – Tymczasem nasza rozmowa potrwa chwilę.

Siedziałam nadal spięta, na samym brzegu krzesła.

– Uważasz pewnie, że moje metody są twarde – zaczął – ale życie też jest twarde. Obchodzę się z wami ostro, żebyście za tymi murami dali sobie radę. Inaczej wszyscy jesteście bez szans. Musicie nauczyć się obro-

ny. Musicie nauczyć się walczyć. Jestem surowy, ale nikogo nie pozostawię samemu sobie. Co jest dobre dla jednego, jest także dobre dla drugiego!

Zabrzmiało to niemal jak stwierdzenie, że na wszystkie choroby na świecie istnieje tylko jedno lekarstwo, ale nic nie powiedziałam.

Rozmowa, która nastąpiła potem, była jak przesłuchanie w krzyżowym ogniu pytań. Z tym tylko, że inaczej niż na filmach, nie było tu drugiego funkcjonariusza, który niekiedy przynosi kawę i sandwicze. Ja zresztą, siedząc naprzeciw Berta, nie przełknęłabym ani kęsa.

Bert pytał, a ja odpowiadałam. Pytania padały jedno po drugim w takim tempie, że nie miałam czasu na namysł.

– Uważasz, że cierpisz na jądłowstręt?

Przytaknęłam, a potem potrząsnęłam głową przecząco. Wiedziałam, że jestem zbyt chuda, ale nie uważałam się za anorektyczkę.

– Czy jądłowstręt jest chorobą?

– Tak.

– Czy twoja matka uważa cię za chorą?

Nie odpowiedziałam, bo nie wiedziałam, co myśli matka.

– A twój ojciec?

Tego też nie wiedziałam.

– Uważasz, że ludzie chudzi są piękni?

Nie odpowiedziałam, ale mogłabym powiedzieć „tak”.

– Czy twoja matka jest za gruba?

Potwierdziłam.

– Czy ludzie grubi są ci niemili?

Zaprzeczyłam.

– Czy twój ojciec jest gruby czy chudy?

– Kiedyś był chudy, teraz nie wiem, jest całkiem normalny.

– Czy twoja matka jest wesoła?

– Jest zatroskana.

– Czy uważasz, że ludzie zatroskani są niesympatyczni?

– Nie. Nie wiem. Trzeba być ostrożnym.

– A kto jest ostrożny?

– Wszyscy.

– Nie wszyscy. To ty jesteś ostrożna. Powiedz: ja!

– Ja.

– Czy twój ojciec też jest ostrożny?

– Tak.

– Dlaczego jest ostrożny?

– Może chce chronić uczucia innych...

– Jakie uczucia?

– Nie wiem.

– Twoje uczucia także?

Potwierdziłam ruchem głowy.

– No więc, ojciec jest w stosunku do ciebie ostrożny. Dlaczego? Czy jest bojaźliwy?

– Moi rodzice są w porządku!

– Czy chcieli mieć więcej dzieci?

– Nie wiem.

– Z całą pewnością nie chcieli! Prawdopodobnie nie umieją okazywać dzieciom miłości. Ale ty nie chcesz w to wchodzić. Ty chcesz pozostać dzieckiem tak długo, jak długo oni nie dadzą ci takiej miłości, jakiej pragniesz.

Na wszystkie pozostałe pytania odpowiadałam: „nie wiem”.

– No, dobrze – powiedział Bert. – Jeśli twoja głowa nie wie i nie chce wiedzieć, musimy dopuścić do głosu twoje ciało. Wkrótce zaczniesz brać udział w zajęciach grupy bioenergetycznej!

Ktoregoś dnia usłyszałam dobiegające z sali gimnastycznej dziwne krzyki, głośne tupotanie i gwałtowny płacz. Kalle wyjaśnił mi, że to ćwiczenia grupy bioenergetycznej, podczas których uczestników obdziera się ze skóry.

– Mówisz, że tam obdzierają ze skóry, a tymczasem ludzie już bardzo dawno temu oddali swoją skórę.

– Miałem na myśli nagie ciało. To nie jest zbyt apetyczne – odparł Kalle.

– Nie obawiaj się – uspokoił mnie Bert. – To na pewno dobrze ci zrobi!

– Czy mogę już odejść? – zapytałam.

Nareszcie mogłam wrócić do mojego pokoju. Byłam zdenerwowana i wzburzona. Już samo przesłuchanie było dostatecznie przykre, chociaż nie musiałam odpowiadać, jeśli nie chciałam lub nie znałam odpowiedzi. Ale na myśl o terapii z podporządkowaniem własnego ciała ogarniał mnie strach.

Żeby się uspokoić, zaczęłam malować.

W czerwonym domu siedzi na krześle zając. Jego uszy są zakrwawione. Przed domem stoi na tylnych nogach pies myśliwski. Pukając w okno przednią łapą, wskazuje na trzymany w drugiej łapie koszyk, jak gdyby mówił: „Otwórz, przyniosłem ci coś do jedzenia”.

Drogi Michaelu,

wydaje mi się, że jestem w tej klinice od dawna, a to dopiero dwa tygodnie. Ciągle jeszcze nie znam wielu tutejszych ludzi i nie wiem nic o ich chorobach. Inna rzecz, że w czasie tych dwóch tygodni „poznałam” więcej ludzi niż w ciągu całych dziewiętnastu lat mojego życia. Ci tutaj są nadzy i bezbronni. Nie są skrepowani gorsetem przyzwoitości, nie noszą maski uprzejmości. Jedni się śmieją, drudzy często płaczą. Ja nie lubię płakać, jeśli ktoś się temu przygląda. Obierałam z Irmą ziemniaki i też się śmiałam. Nie z niej, lecz z tego, co powiedziała. Ona o sobie mówi, że jest beznadziejną alkoholizką, lecz nie współczuje sobie. Ona jest... Nie umiem opisać tego, jaka ona jest, ale namalowałam obraz o niej. Jest właśnie taka. Tak ją widzę. Irma siedzi na czerwonym krześle. Między jej grubymi udami stoi napełnione wodą wiadro na ziemniaki. Irma uśmiecha

się, patrząc na ziemniaczane oczka, a tymczasem z jej oczu płyną niebieskie łzy, które rozwiewają się na wszystkie strony.

Myślę, że moi rodzice zachowują się zupełnie przyzwoicie wobec mnie. Przyzwoitość nie jest jednak dowodem uczuć, prawda? Przecież nie mogę ich zmusić, żeby mi okazywali miłość, mówiąc o tym, obejmując mnie. Nikogo nie można zmusić, żeby był inny, niż jest. Gdybym była lekarzem, nacięłabym siebie, żeby zobaczyć, co jest u mnie nie w porządku. Ale nie jestem lekarzem i nie wiem także, jak coś powinno wyglądać, kiedy nie jest w porządku. Albo jak coś wygląda, kiedy jest się chorym. Wszyscy mówią tu o dzieciństwie. Że trzeba się cofnąć w czasie, spojrzeć na okres dzieciństwa i w ten sposób znaleźć korzenie choroby. Tylko że ja nie widzę tam żadnej choroby. Widzę samotną dziewczynkę i słyszę ciszę. Wielkie milczenie otaczających mnie wysokich, mrocznych jodeł. Wtedy miałam swój własny wymyślony świat. Czy od tego się choruje? Albo dlatego, że się jest innym niż pozostałe dzieci?

Nigdy nie byłam ani całkiem szczęśliwa, ani całkiem nieszczęśliwa.

Nigdy nie byłam kimś całkiem.

Poza byciem z tobą. Wtedy byłam połową ciebie. Później zawsze domyślałam się ciebie. Kiedy nie było cię przy mnie.

Katja

Michael

Czekałem na wyniki prac pisemnych. Z wiedzą o społeczeństwie poradziłem sobie dobrze. Tego byłem pewien. Ale co z pracą z niemieckiego?

Dobre samopoczucie, z którym opuszczałem salę po oddaniu pracy, powoli się ulotniło. Najlepiej byłoby zapytać Schlütera, wtedy coś bym już wiedział. On z całą pewnością przejrzał wszystkie prace, choćby pobieżnie. Jednak go nie zapytałem. Zamiast tego snułem się po domu jak duch, który czeka na sposobność wślizgnięcia się w ciało.

Rodzice sprzeciali się, który program telewizyjny należy włączyć. Ojciec chciał obejrzeć jakiś kryminał, matka – program polityczny.

– Przecież ty także chcesz uczestniczyć w wydarzeniach na świecie, no nie? – zawołała.

– Uczestniczę tylko przy podziale kwoty za programy podłączone do naszego aparatu – zrzędził ojciec.

Nie włączyłem się do tej dyskusji. Od dawna już nie „uczestniczyłem” w żadnych wydarzeniach poza sprawami szkolnymi. Wiedziałem jeszcze tylko, jak się nazywa kanclerz federalny. Jeśli był to ten sam, co kilka miesięcy temu.

Pewnego razu wyrzucałem Katji, że nie interesuje się polityką. To było kilka lat temu. Byłem wtedy bardzo zaangażowany w ruch na rzecz pokoju; w każdym razie w to, co jeszcze z niego wówczas pozostało. Któregoś

dnia próbowałem skrzyknąć uczniów starszych klas na demonstrację przeciwko okrucieństwu rosyjskiej armii na Litwie. W pracowni zobaczyłem Katję. Malowała. Zapytałem, czy weźmie udział w naszym pochodzie protestacyjnym. Potrząsnęła tylko głową. Spojrzałem obojętnie na malowany przez nią obraz: piętnaście dziwnych, niemal przezroczystych istot wisiało w powietrzu. Ziemia była czerwona i bezludna, a słońce czarne.

– Jak możesz malować, kiedy naokoło dzieją się takie straszne rzeczy? – zapytałem.

Katja milczała.

Wtedy właśnie, podczas demonstracji, poznałem Tinę.

Kiedy później rozmawiałem z nią o piętnastu zabitych podczas zamieszek w Wilnie, przypomniał mi się obraz Katji.

Tydzień później nie wytrzymałem już tej niepewności. Musiałem dość długo czekać na korytarzu przed pokojem nauczycielskim, nie byłem jedynym, który przagnął porozmawiać ze Schlüterem.

– Ach, Mertens – powiedział, kiedy wszedłem do pokoju.

Nie zabrzmiało to zbyt obiecująco, a następujące potem westchnienie potwierdzało to odczucie.

– Jeszcze raz zdołał się pan wymigać – powiedział, patrząc na mnie z ubolewaniem ponad oprawką okularów.

Nie wiedziałem, czy fakt ten go martwi, w każdym razie jego słowa znaczyły, że zaliczyłem pracę. Uśmiechnąłem się szeroko.

– W ciągu ostatnich paru lat nadużywałaś mojej cierpliwości – powiedział Schlüter, znowu poniechawszy oficjalnej formy *per pan*. – Bądź to przez lenistwo, bądź przez arogancję czy po prostu niedbalstwo. Postępowałaś wedle zasad: robota nie zając – nie uciekniesz!

Co mam zrobić dziś, mogę zrobić jutro! Ale świadectwo przyprawi cię jeszcze nieraz o ból głowy. Kiedy będziesz chciał się dostać na studia, okaże się, że twój klucz do bram uczelni nie pasuje!

Nic nie odpowiedziałem, tylko z lekkim zakłopotaniem patrzyłem w podłogę.

Schlüter spojrział przez okno i dodał:

– To prawda, że świadectwo z nikogo nie czyni człowieka. Co najwyżej może ułatwić drogę zawodową. Wszystko inne... – znowu westchnął. – Wśród twoich wypracowań są i takie, które sprawiają wrażenie własnych przemyśleń.

Po chwili zapytał:

– Słyszałeś coś o Katji Bloch?

Otrzymałem od Katji pięć listów; dzień po dniu po jednym, ale od tygodnia nie przyszedł już żaden. Zdziwiło mnie to, prawdę mówiąc, trochę mi ich brakowało. Wprawdzie ciągle jeszcze jej nie odpowiedziałem, ale liczyłem na to, że Katja nadal będzie do mnie pisać.

– Dostałem od niej kilka listów – odparłem. – Jako dzieci spędzaliśmy razem dużo czasu – dorzuciłem w formie wyjaśnienia.

– Jak będziesz do niej pisał, przekaż pozdrowienia ode mnie – powiedział Schlüter, który oczywiście myślał, że odpowiadam Katji na jej listy.

Jeśli dokonam w życiu czegoś wielkiego, Schlüter będzie pierwszym człowiekiem, któremu o tym opowiem, pomyślałem, opuszczając jego pokój. Czym miałyby być to coś wielkiego, nie miałem pojęcia. Moja wizja przyszłości nie sięgała poza wakacje po maturze.

W sieni spotkałem Tinę.

– Właśnie się dowiedziałam, że z plastyki dostałam jedynekę! W ten sposób jestem prawie geniuszem sztuk plastycznych! Czy to nie super?

– A francuski? – zapytałem.

– Z powodu francuskiego też już nie muszę rwać

włosów z głowy. Oczywiście, nie dostanę jedyńki. Ale może czwórkę. A może nawet trójkę!

– Lepiej nie buduj zamków na lodzie. Trzymaj się stałego gruntu.

– Nie wybrzydzaj! – skarciła mnie Tina.

Pocałowałem ją i opowiedziałem o wizycie u Schlütera.

– A więc zdaliśmy! – krzyknęła Tina. – Zdaliśmy!

Potem, w drodze do „Sowy”, Tina, stojąc na środku ulicy, raz jeszcze krzyknęła na całe gardło:

– Ludzie, słuchajcie! Zdaliśmy!

Przechodnie obrzucali nas spojrzeniami i uśmiechami, a ja szybko pociągnąłem Tinę za sobą, zanim światło zmieniło się na czerwone.

W „Sowie” siedzieli już Jens i Mark, i paru innych z naszego rocznika. Zaczęło się od nowa obliczanie punktów. Tina powiedziała, że to chyba wszystko jedno, kto ma najwięcej punktów. Najważniejsze, że wszyscy dobiegliśmy do mety.

– Właściwe nastawienie do olimpiady – zakpił ktoś.

– Ja w żadnym razie nigdy już nie zrobię czegoś takiego, jak zbieranie punktów czy porównywanie się z kimś – oznajmiła Tina.

– To będziesz musiała zbudować sobie budę na tamtym świecie – powiedział Jens. – Myślisz, że tak jest tylko w szkole? Żyjemy w świecie, w którym można przeżyć tylko wtedy, kiedy jest się lepszym.

– Bzdura! – krzyknęła Tina. – Może tu tak jest. Ale są jeszcze inne kraje.

– Tam jest tak samo! – rzucił Jens.

– No, przynajmniej mówią tam innymi językami! – powiedziała Tina przekornie.

To było hasło. Wszyscy tęskniliśmy za czymś dalekim, nieznanym. Postanowiliśmy, że wsiądziemy w pociąg tak szybko, jak się da i pojedziemy na południe. Ku wolności!

Matka gotowa była natychmiast pomóc mi w sfinansowaniu wyprawy. Zarabiała na sprzedaży swoich glinianych figurek i miała własne pieniądze, jak je nazywała, z czego była bardzo dumna.

Oliver powiedział, że mogę wziąć jego jednoosobowy namiot, w którym wystarczy miejsca dla dwóch albo dla dwojga.

Kiedy opowiedziałem ojcu o planowanej podróży, zauważył:

– Może to i dobry pomysł. Czas oczekiwania nie będzie się tak dłużył.

– Oczekiwania na co? – spytałem z głupia frant.

– No, na to czy zdałeś.

– Ach, o to chodzi – odparłem możliwie obojętnie. – To już wiadomo. Zdałem. I Tina też zdała, o ile wiem.

– I dopiero teraz o tym mówisz! – krzyknęła matka i zerwała się, żeby mnie objąć.

Nastąpiły uściski i gratulacje, którymi w pełni się delektowałem. Uznałem, że zasłużyłem na to. Wprawdzie nie przyłożyłem się zbyt do egzaminów, ale trzęsienie się o wyniki było wystarczająco męczące.

Kiedy się trochę uspokoiłszy, Oliver powiedział:

– Nie wszyscy zdali...

Spojrzałem na niego i skinąłem głową.

Miał na myśli Katję.

Katja

W piątek miałam wziąć udział w zajęciach grupy bioenergetycznej. Obudziłam się wcześniej rano. Tym razem miałam wyjątkowo piękny sen. Śniłam, że jestem ptakiem. Przeciągnęłam się i uśmiechnęłam. Czułam się lekka jak piórko.

Ptaki nie uprawiają bioenergetyki. Żeglują po niebie i płyną dokądkolwiek; tam, gdzie przez cały dzień świeci słońce, a jaszczurki wygrzewają się na murach.

Głos Hildy ściągnął mnie z powrotem do rzeczywistości.

– Nie przygotowujesz się do porannych ćwiczeń? – zapytała.

– Chcę jeszcze trochę poleżeć.

– Twoja sprawa! – burknęła Hilda i szybko wyszła z pokoju.

Sapnęłam z zadowoleniem, zwinęłam się pod kołdrą w kłębek i – zasnęłam ponownie.

Nagle ktoś zerwał ze mnie kołdrę i jakiś szorstki głos powiedział:

– Dalej! Wstawaj!

Przerażona otworzyłam oczy. Przy moim łóżku stała jedna z terapeutek.

– Rusz się! To nie dom wypoczynkowy! Musisz brać udział w gimnastyce, jak wszyscy inni.

Wstałam powoli, bez słowa, patrząc na terapeutkę spojrzeniem pełnym nienawiści.

– To na mnie nie robi wrażenia – powiedziała ze śmiechem.

Ubrałam się, ale na gimnastykę nie poszłam. Planowe dziesięć minut i tak już minęło. Szukałam Kristine, nigdzie nie mogłam jej jednak znaleźć. Może miała wolny dzień, a może jeszcze nie przyszła do kliniki.

W sekretariacie powiedziano mi, że przyszedł do mnie list. To był list od rodziców. Poszłam do swojego pokoju i pilnikiem do paznokci otworzyłam kopertę. Byłam podniecona. Nigdy jeszcze nie otrzymałam listu od moich rodziców. Nigdy zresztą nie wyjeżdżałam sama z domu.

Droga Katju,

chyba wolno ci już otrzymywać pocztę i na pewno ucieszysz się z listu od nas. Ojciec chciał raczej do ciebie zadzwonić, ale ja powiedziałam, że przywołanie cię do telefonu będzie chyba trudne. Może będziesz właśnie na spacerze z przyjaciółmi albo będziesz majsterkować, a wtedy z pewnością wolałabyś, żeby ci nie przeszkadzać. Miejmy nadzieję, że czynisz już postępy i przybrałaś na wadze parę funtów. Chodzi przecież tylko o to. Wszystko inne jest w porządku. Nie musisz się teraz obawiać prac maturalnych. Czekają cię one dopiero w przyszłym roku. Do tego czasu uporasz się ze wszystkim z łatwością. W domu wszystko idzie dobrze. Zastanawiamy się, czy ewentualnie odwiedzić cię w przyszłym tygodniu. Jeśli lekarze pozwolą. Jeśli nie, wyślę ci paczkę. Czy masz jakieś życzenie?

Bardzo serdecznie cię pozdrawiamy!

Twoja matka i twój ojciec

Złożyłam list i wsadziłam go z powrotem do koperty. W jakimś sensie spodziewałam się po nim czegoś więcej. Nie wiedziałam jednak, co oni powinni byli napisać.

Poszłam do Maxa. Siedział na łóżku, trzymając blok listowy i ołówek.

– Napisałem song. Chcesz posłuchać? – zapytał.

Potrząsnęłam głową.

– Nie szkodzi. Może zresztą wcale nie jest taki dobry. Znasz jakiś budujący aforyzm? Mógłbym go wykorzystać.

Znów potrząsnęłam głową.

– Milcząca z ciebie dziewczyna – powiedział Max, marszcząc czoło.

Przypomniał mi się pewien wiersz Paula Celana. Mowa w nim jest o cieniu, który się rozświetla, kiedy człowiek traci nadzieję. Wołałam jednak zachować ten wiersz dla siebie.

Na bioenergetykę poszłam do sali gimnastycznej. Inni już tam byli; wszyscy ubrani w spodniek gimnastyczne i koszulki. Ja miałam na sobie spodnie treningowe i Hilda powiedziała, że się w nich spocę.

Od Kallego wiedziałam już, że w bioenergetyce chodzi o to, aby poprzez określone postawy i napięcia mięśni poszczególnych części ciała rozluźnić blokady fizyczne, a w rezultacie także sferę psychiczną. Nie umiałam sobie tego wyobrazić.

Najpierw były proste ruchy rozluźniające i ćwiczenia oddechowe, potem ćwiczenia wytrzymałościowe. Trzeba było na lekko ugiętych kolanach pochylić górną część ciała w dół, aż kolana zaczynały drżeć, a łydki i uda boleć. Kiedy nie mogłam już tego wytrzymać, wyprostowałam się, a potem usiadłam na podłodze i rozejrzałam naokoło. Część ćwiczących miała jeszcze głowy opuszczone ku ziemi, kilku innym mocno drżały nogi. Parę osób zaczęło krzyczeć, niektórzy płakali. Bert zagrzewał ich:

– Krzyczcie głośnie! Ryczcie!

Tym, którzy płakali, kazał płakać jeszcze głośnie.

Parę osób miotało się po sali, biegając i objając o siebie. Bert oparł o ścianę kilka grubych mat, na któ-

rych ćwiczyliśmy na gimnastyce. Na tych matach biegający po sali mogli wyładować swoją wściekłość – rzucać się na nie, uderzać, deptać po nich. Patrzyłam na to z obrzydzeniem, nie pojmując, co się z tymi ludźmi dzieje. Wiedziałam tylko, że nie chcę, aby coś takiego działo się ze mną.

Bert pokazał teraz, jak mamy ułożyć się na podłodze: w pozycji na plecach, stopy wysoko podciągnięte, nogi opuszczone na boki, do ziemi. Ćwiczenie to wydało mi się jeszcze bardziej odstręczające niż poprzednie i dlatego trzymałam kolana mocno zwarte.

Nagle Bert stanął nade mną, pochylił się, położył dłonie na moich kolanach i rozerwał je, przyciskając mi nogi do ziemi. Odczułam to jak rozplatanie nożem. Zasłoniłam rękami oczy, nie chcąc spojrzeć tam, gdzie, jak mi się wydawało, broczę gorącą krwią.

– Żadnego jęku z powodu bólu? – zapytał Bert.

Leżałam na podłodze, walcząc z mdłościami, wściekłością i smutkiem. Czułam się upokorzona, bezsilna i bezradna. Było mi tak, jakbym pierwszy raz w życiu jechała kolejką w wesołym miasteczku – słyszałam krzyki, piski, lekkie śmiechy innych, nie miałam jednak odwagi spojrzeć ani w górę, ani w dół. Trzymałam się tylko z całych sił. Wagoniki pędziły coraz szybciej pod górę, by po chwili staczać się w dół. Kiedy już miałam zacząć krzyczeć, zwolniły i nagle się zatrzymały.

Odsłoniłam oczy i uniosłam głowę. Nie utraciłam ani kropli krwi. Powoli wstałam i skierowałam się do wyjścia. Bert zagroził mi drogę, próbując mnie objąć. Odepchnęłam jego ręce i wyszłam.

W pokoju spakowałam starannie walizkę. Pamiętałam nawet o kosmetyczce w łazience. Unikałam tylko spojrzenia w lustro, gdy wyciągałam moje rzeczy z toaletki.

Motyle, sępy, kruki, kawki. Gdzie fale dotykają brze-

gu. Gdzie fale oceanu całują motyle. Gdzie jaszczurki oblizują skały. Gdzie fale. Tam jesteśmy my.

Zdania i słowa trzepotały w mojej głowie. Nawet nie próbowałam myśleć jasno.

Zawlokłam walizkę na dół, postawiłam w jadalni, przeszłam przez hol i otworzyłam drzwi wejściowe.

Przez chwilę stałam nieruchomo przed drzwiami. Potem poszłam. Na środek ulicy.

Zobaczyłam nadjeżdżający samochód i ruszyłam mu naprzeciw.

Pisnęły hamulce. Coś trzasnęło. Krzyknęłam.

Michael

W piątek wieczorem staliśmy na dworcu z plecakami i namiotami, wszyscy w świetnych humorach.

Zegnaliśmy się z naszymi matkami lub ojcami, a Mark powiedział zrzędliwie, że jego zdaniem z rodzicami należałoby spotykać się tylko we własnych czterech ścianach. Wszędzie indziej będą się zachowywać śmiesznie.

Obiecywaliśmy: „Będziemy dzwonić! Będziemy pisać! Tak, będziecie zawsze wiedzieć, gdzie jesteśmy” – zupełnie jakbyśmy wybierali się w podróż dookoła świata, a my jechaliśmy tylko do Portugalii.

Nadszedł moment wsiadania do pociągu.


– Pozdrów tatę i Olivera! – powiedziałem do matki.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. Z jednej strony cieszyła się moją radością, z drugiej – już się martwiła. Przypomniałem sobie uwagę Schlütera na temat okularów, których, jego zdaniem, potrzebuje każdy. Albo z powodu krótkowzroczności, albo z powodu dalekowzroczności. Matki być może powinny niekiedy nosić klapki na oczach. Dla ich własnego spokoju.

Kiedy pociąg ruszył, zobaczyłem biegnącego przez peron ojca. Rzeczywiście wyglądał trochę śmiesznie. Pomachałem mu z okna, on też mi pomachał. Rozczulił mnie ten widok; ojciec robił się coraz mniejszy i mniejszy, a w końcu nie do rozpoznania. Pewnie było mu smutno, że się rozminęliśmy. Mnie też.

Scanned

by

ZOE 

:>